Nr. 31. Warszawa, dnia 4 Sierpnia (23 Lipca) 1894 r. Rok XIV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

CISZA NIEMIECKA.

Nastała zwykła o tym czasie w życiu politycznem cisza letnia, przerywana zrzadka jedynie plotkami, które kiedy niekiedy pojawiają się w łamach tego lub innego dziennika i wśród ogólnej posuchy na wiadomości rozbrzmiewają dłużej, niżby należało. W Niemczech zapanowała ona wcześniej, niż gdzieindziej. Bez przesady możemy powiedzieć, że nad Rzeszą owo widmo spokoju unosiło się w ciągu całego ubiegłego roku. Nawet w tym okresie, kiedy oba sejmy, a zatem ogólno-związkowy i miejscowo-pruski, obradowały w murach Berlina, potok zaś życia politycznego płynął całem swojem korytem, wbrew tradycyi, dziennikarz niewiele wyłuskiwał materyału z tego ogniska, z którego za czasów księcia żelaznego czerpał tak obficie. Prawodawcy siedzieli nad sprawami podatkowemi, które posiadają dla kraju wprawdzie doniosłe znaczenie, ale nader są nudne dla zagranicy i nieudzielające wrażeń błyskotliwych; dzienniki berlińskie, pozbawione zwykłej strawy, bezustannie kłóciły Capriviego z Miquelem, ażeby nazajutrz ich pogodzić, natomiast kazać innym się waśnić i podkopywać; exmajordom nawet, załagodzony zręcznie przez Wilhelma II, przestał bruździć, a przynajmniej czynić to w sposób ciekawy a szkodliwy. Jedynie szlagonerya antisemicka, zacietrzewiona przeciwko rządowi, swoimi wrzaskami zakłócała nużącą jednostajność i dostarczała jakiegoś żywszego wątku dla dziennikarzy. Słowem, niesłychana dotychczas jałowość rozpostarła się nad Niemcami. Caprivi był wiedziony dobrem przeczuciem, gdy w początkach sprawowania swego kanclerstwa rzekł, że polityka w ciągu jego rządów stanie się arcynudną...

Nie sądźmy jednak, aby ta cisza była spokojem cmentarza, na którym zamarły wszystkie drgania życia i głosy. Bynajmniej nie pochodzi ona z ospałości, ani z jakiegoś znużenia. Przeciwnie, praca wewnętrzna nad podniesieniem własnej kultury i rozszerzeniem podstaw jej dalszego prawidłowego rozwoju, może nigdy, za gorących czasów wszechwładnego ex-kanclerza, nie szła tak żwawo, jak w chwili obecnej. Jest ona zmudna i wielka, winna walczyć nietylko przeciw żywym zawadom, ale także usuwać dawne, obumarłe z pozoru. Niedoszły majordom pozostawił po sobie we wszystkich dziedzinach życia publicznego rzeczywistą stajnię Augiaszową, osłabił kontrolę społeczną, mniejsza w jakiej formie występującą; czy więc w postaci sejmowej, czy też prostej ciekawości dziennikarskiej i głosu opinii publicznej, do zarządu krajem i nawet do armii wprowadził zasady nepotyzmu, pod osłoną nieprzejednanej woli swojej uprawiał oportunizm i nauczył frymarczyć przekonaniami, stronnictwa polityczne przyzwyczaił do sprzedajności. Kraj, zagrożony w najdroższym swoim dobytku, zapomniał o wszystkiem i zwrócił wszelkie siły na obronę tego, co już był posiadał. Inne pola zostawiono odłogiem do lepszych czasów. Chwila obecna rozprawia się właśnie z tą spuścizną, zabagniającą łożysko życia publicznego. Odbywa się to zwolna, i nawet trudno, ażeby inaczej być mogło. Co kto wziął, trzyma w swojej garści i bynajmniej nie kwapi się wypuścić. Wprowadzenie chociażby ceł było dziełem niedługiego czasu, lecz zniesienie ich posuwa się jakby po najcięższej grudzie i zanim zrobiono jakiś wyłom w podatku celnym na zboże, tym istotnym haraczu, opłacanym przez niezamożną ludność obywatelstwu ziemskiemu, ileż to upłynęło czasu i z jakiemi trudnościami musiał się był rząd borykać! Albo zwróćmy się do innej sfery. Przyboczna prasa ex-kanclerza przebąkuje o zdradzie niemal stanu ze strony Capriviego. Książę żelazny trzymał w swem ręku urząd kanclerza Rzeszy i piastował jednocześnie godność prezesa ministrów pruskich. Słusznie patrzono na to, jako na najwymowniejsze świadectwo jego zamiarów traktowania Niemiec niby kraju, zdobytego przez prusaków, tem bardziej, że istotnie na coś podobnego się zanosiło. Walka nawet z kościołem była w gruncie rzeczy jedynie zamaskowanym zamachem junkra pruskiego dla narzucenia w całej Rzeszy hegemonii swojej i przywłaszczenia sobie synekur publicznych. Caprivi porzucił ten system, zrzekł się przewodnictwa w radzie ministrów pruskich i wraz z tem zaniechał tradycyi prusaczenia kraju. Drobne sprawy miejscowe, które zagłuszone ucichły, podniosły teraz swój głos i domagają się rozwikłania. Zewsząd słychać wołanie, ażeby uregulowano stosunki finansowe pomiędzy skarbem Rzeszy a pojedynczemi dzielnicami — rzecz, rozwiązywana przez Bismarka w sposób gordyjski, tj. zgoła nierozstrzygana. Czekała ona, na równi z wielu innemi, podobnie ważnemi zagadnieniami, lata całe i jakoś nie zdołała doczekać się swojej kolei w natłoku militaryzmów, ceł, kagańców i innych haseł polityki dawnej. W życiu municypalnem, ba! nawet w sejmowem, bujnie pleniły się różne nadużycia i wyrastały wśród gwaru, znającego wszystko, prócz jawności. Teraz nastała godzina obrachunku. Robota to, aczkolwiek nader doniosła dla ojczyzny niemieckiej, mało jednak sprawia hałasu i efektu, niekiedy zaś mija zupełnie niepostrzeżenie. Dziennikarz zagraniczny, który ongi tak gorączkował się podczas posiedzeń sejmu niemieckiego, dzisiaj poziewając przewraca stronice sprawozdań z rozpraw w parlamencie, tak drobne i niepokaźne sprawy

rozsiadły się tam i rej wodzą. Natomiast gwarnie pod innym względem: w prasie berlińskiej i wogóle niemieckiej pełno plotek i skandalu. Starej daty ludzie przebąkują, że Berlin stał się Sodomą polityczną. To *Kladdaredatsch* w ciągu wielu miesięcy szykanuje najwyższych dostojników urzędu dyplomatycznego, to znowu w prasie sypią się knowania przeciwko któremuś z członków rządu, albo wypływa na jaw skandaliczna sprawa Kotze'a. W ostatniem półroczu były to najważniejsze niemal zdarzenia polityczne! Skandal po skandalu rozbrzmiewa w tak skromnej ongi prasie niemieckiej, urągającej z tego powodu swawoli francuskiej. Niegdyś było inaczej. Żelazna ręka trzymała na wodzy zjadliwość dziennikarską i oduczała ją od wtykania nosa w cudze sprawy. Ale dzisiaj jawność zastąpiła dawną potulność i wyciąga na światło dzienne wszystkie skandale. Działalność sejmowa zeszła na niziny mniej hałaśliwych ale pożyteczniejszych reform, natomiast pióro dziennikarskie zaczęło potrącać o to, o czem ongi milczało.

Tak wygląda życie publiczne Niemiec w obecnej chwili, pod powierzchnią tak cichą i ospałą z pozoru, tak jałową i ślamazarną.

Ż.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Francuska izba deputowanych przyjęła nareszcie większością głosów całość projektu praw rządowych przeciwko szerzeniu anarchizmu. Nacisk ten zaczyna już wpływ swój wywierać w życiu. Casimir-Périer dekretem prezydalnym wprowadził moc prawa i do Algieru, o czem zapomniano przy redagowaniu tekstu ustawy. Za tę wszakże energię w zakresie prześladowań prezydent ciągle jest zasypywany pogróżkami bezimiennemi. Jednocześnie anarchiści, chcąc uniknąć skutków prawa, opuszczają Francyę. Ta dobrowolna emigracya burzycieli przejawia się również we Włoszech; sam nawet rząd czyni stosowne ułatwienia w tej mierze; tak np. policya genueńska wyrabia u towarzystw przewozowych bezpłatne karty przejazdu dla nich do Brazylii. Skorzystało już z tego udogodnienia mnóstwo osób.

W ostatnich dniach w Rzymie wytrysnęło dość silne nowe źródło wzruszeń. Długo ciągnąca się sprawa dyrektora „Banca Romana," czyli tak zwana „mała Panama," doczekała się niespodziewanego końca. Główny winowajca, Tonlongo, wyrokiem przysięgłych został uniewinniony. Tłomaczył się on tem, że jakkolwiek pieniądze strwonił istotnie, ale nie na swój własny użytek, że zawsze działał w porozumieniu z rządem. Ministrowie kazali mu, dla podniesienia kursu renty, kupować ją w dużych ilościach; nadto, sami brali od niego pieniądze na cele wyborcze i wszelkie inne; wreszcie zalecali mu wydawać pożyczki różnym deputowanym, nie przedstawiającym wprawdzie żadnej rękojmi materyalnej, ale wywierającym wpływ polityczny w izbie i w kraju. „Nie ja jestem winien — mówił oskarżony — że pieniądze przepadły; winni ci, którzy mię pociągali i zmuszali do wydatków. Jam był ich ślepem narzędziem." W tych słowach usprawiedliwienia musiało tkwić dużo prawdy, skoro wobec sądu zmazały one winę Tonlonga i nawet pchnęły garść entuzyastów do owacyi i wyprzęgania mu koni, gdy wracał z sądu do domu. Jest przypuszczenie, iż „Panamino" było następstwem przesilenia finansowego we Włoszech; stąd trzeba przyjść do wniosku, że sternicy tej nawy, nadwątlonej materyalnie, nie przebierali w środkach dla jej wyłatania.

Grecya, mniej odważna w tej mierze, boryka się bezradna z ciężarem długów na barkach. Od dawna już toczą się układy pomiędzy gabinetem Trikupisa a komisyą wierzycieli niemieckich, angielskich i francuskich, którzy nie są zbyt względni i czuli.

Zaognienie spraw kolonialnych coraz bardziej się rozszerza i ujawnia dość powikłane interesy europejskie, których rozwiązywanie odbywa się kosztem i krwią krajowców, wziętych pod opiekę dobrotliwej cywilizacyi. Włochy dalej święcą tryumfy, Hiszpania im nie ustępuje; wojsko tej ostatniej na wyspach Filipińskich morduje i ściga mahometan malajskich.

Pomiędzy Niemcami a Portugalią wszczął się „zatarg dyplomatyczny." W Afryce wschodniej pięć okrętów niemieckich obległo zatokę Pianga, a ich dowódcy zatknęli tam swoją flagę. Portugalia nie chce ustąpić, gdyż terytoryum sporne uważa za swoje na mocy traktatu z grudnia r. 1884. Jednocześuie rząd niemiecki, również na gruncie kolonialnym naruszył względem Anglii niektóre paragrafy traktatu brukselskiego; kazał przez jezioro Nyassa przewieźć zapasy prochu i amunicyi, przeznaczone dla handlarzy niewolników. Takie szczegóły składają się na kartki z dziejów humanizmu i kultury europejskiej śród „dzikich."

Spór koreański przeszedł już w formalną wojnę między Japonią a Chinami. Odbyło się kilka znacznych utarczek na morzu, w których japończycy zdołali zatopić transportowy statek chiński z całą załogą, wynoszącą 1500 ludzi. Okazało się wszakże, iż był to okręt angielski, wydzierżawiony tylko chińczykom. Anglia upatruje w tem obrazę a w duchu rada ze sposobności umaczania swej długiej ręki w wodzie zmąconej, tem bardziej, że jest zaniepokojona udziałem w tej sprawie innych państw. Do brzegów Korei przybiły bowiem, oprócz statków angielskich, niemieckie i ruskie.

Z tego powodu *Swiet* przychodzi do następujących wniosków: „Jeśli Chiny lub Japonia zamierzają za poradą Anglii unicestwić niepodległość Korei, to Rosya może się na to zgodzić tylko po uwzględnieniu wszystkich jej interesów. Anglia właśnie obawia się, aby Rosyi za jej usługi przy rozwiązaniu kwestyi nie dostał się niezamarzający port Hejsan, zwany portem Łazarewa. Dla uniknienia takiego rezultatu, Anglia najlepiej uczyni, gdy użyje wpływów, aby Japonia wycofała swoje wojska z Korei. Rosya zaś wspólnie z dawnym przyjacielem, Chinami, potrafi przywrócić zupełny porządek w Korei

---

7)

LAURA MARHOLM.

PRZYCZYNEK DO PSYCHOLOGII KOBIETY.

Dawne stosunki nie były jeszcze wcale tak złe, jak się to zdaje, kobieta bowiem miała najszerszą możność zaskarbienia sobie miłości mężczyzny. I mężczyzna kochał kobietę i bez niej obejść się nie mógł. Stąd wypływało panowanie, którego paragrafów nigdzie nie drukowano i nie ważono.

Niepsychologiczny zupełnie punkt wyjścia wszystkich szermierzy praw kobiecych tkwi w tem, że oddzielają całkowicie przeszłość od teraźniejszości. W przeszłości wszystko było złe, wszędzie gwałt i gnębienie, od dzisiaj wszystko się poprawi. Prawdą jest, że niegdyś — a powtarza to każdy z nich — istniał taki stan rzeczy, który był kobiet godnym. To matryarchat. Niestety jednak, czasy to już tak odległe, że właściwie nic o nich nie wiemy. Nie wierzę w szczęście, którego źródłem byłby matryarchat. Nie mówię, iżby mi się myśl ta nie podobała — owszem, podoba mi się nad wszystkie inne, a tak często widziałam ją już urzeczywistnioną w życiu, wśród ludności robotniczej, wiejskiej, mało i wielkomiejskiej, że nie jest mi niczem nowem. Sądzę atoli, że matryarchat ani o jotę więcej, aniżeli patryarchat ludzi nie uszczęśliwił. Bebel oburza się na praktykowane przez mężczyzn stosunki z wielu kobietami, a z cichem upodobaniem rozpatruje pra-formę, która pozwoliła żyć kobiecie z kilku mężczyznami i uniemożebniała poszukiwanie ojcowstwa. No, ale to jeszcze nie przyczyna do sprzeczek. Spodziewać się należy, że prawodawstwo Bebla, ułożone dla społeczeństwa przyszłości, pozwoli wyrokować o sprawie jedno lub wielożeństwa mężczyznom i kobietom samym; ta bowiem forma zażyłości jest, była i będzie przedewszystkiem zagadnieniem ekonomicznem, powtóre zaś ludzie przyjmują zawsze te obyczaje, na które się zdobyć mogą. W miarę wysubtelniania się stron uczuciowych w człowieku, skłonności poligamiczne zmniejszają się, a monogamiczne — wzrastają przecież wogóle.

Nadto zważmy, że im mniej ludzie byli słabi pod względem cywilizacyjnym, tem brutalniejszej podniety bólu potrzebowali do wywołania rozkoszy. O ile wierzyć można sprawozdaniom badaczy i podróżnych, większa część życia uczuciowego u dzikich przejawia się zewnątrz w czynach bolesnych i wywołujących kalectwo. Fakt ten spostrzegamy wyraźniej jeszcze w rozwoju starszych i nowszych ludów kulturalnych. O ile objąć można dzieje kultury, ludzie nie zadawalali się nigdzie tylko kopulacyą i sama przez się nie zaspakajała ona popędu. Nie, główną rzeczą była tu ilość i różnolitość środków podniecających, przygotowania i podrażnienia. Wśród narodów azyatyckich, u których zrodziło się chrześciaństwo, nie było wogóle osobników niepokaleczonych; szło tylko o stopnie kalectwa; otoczenie, złożone z rzezańców, stanowiło dla osobników normalnych szczególną ponętę, a zarazem i wyraźne tło, na którem ich wszelka czynność życiowa nabierała szczególnej wagi i świętości. W tej ostatniej tkwi jednak zawsze podnieta. U ludów europejskich owa trawiąca zmysłowość blednie trochę. Nie kaleczy się już ciał ludzi wolnych — występują natomiast podniety uroczystości religijnych, misteryj eleuzyńskich i saturnalij, w których zwłaszcza cnotliwe małżonki i dziewice mogły powetować sobie domową wstrzemięźliwość. Skoro tylko uroczystości minęły — szał pierzchał, stawał się czemś dalekiem, niewyraźnem, snem jakoby. Te zaś właśnie długie przerwy, wśród których żyje mglista pamięć pojedynczych zdarzeń, należały zawsze do najwięcej intensywnych, do najostrzejszych podniet zmysłowych. W miarę upadku sił u narodów grecko-katolickich, przedostawać się do nich zaczęły krwawe praktyki płciowe ludów wschodnich.

Potem wypłynęło chrześciaństwo i zwyrodniała ludzkość chwyciła się ostrych podniet ascetycznego samoumartwiania się. Lecz wystąpiły zarazem zimniejsze narody północne, a z nimi stopniowe wysubtelnienie podniet płciowych, wymagające współudziału duszy.

Urzeczywistnienie radykalnej reformy stanowiska kobiety — nie jest tak łatwe,

i przez własne dyplomatyczne wpływy wprowadzi tam takie reformy, jakie będą potrzebne temu sąsiadowi i przyjacielowi. Anglicy będą także zupełnie zadowoleni; kwestya koreańska tym sposobem zniknie; Korea utrzyma swoją niezależność i przywrócony zostanie dawny stan rzeczy, zaspokajający główne interesy wszystkich mocarstw morskich."

W Baden pod Wiedniem zdarzyła się katastrofa. Arcyksiążę Wilhelm spadł z rozbieganego konia i zmarł skutkiem pęknięcia czaszki.

BADANIA NAUKOWE.

MEDYUMIZM.

V.

Dotychczas mówiliśmy o doświadczeniach własnych. Jakeśmy widzieli, bynajmniej nie przemawiają one na korzyść faktów, uznawanych za istotne przez medyumistów, w każdym jednak razie dowodzą istnienia szczególnych stanów psychicznych, odznaczających się zupełną bezwładnością umysłu i upadkiem świadomej działalności, a rozrostem żywiołowej i instynktowej cerebracyi. Jest to rzeczą aż nazbyt charakterystyczną i wymownie świadczącą o dyletantyzmie spirytystów, że w całej tak obfitej literaturze tego prądu nie napotkałem ani jednej pracy, któraby była poświęcona zbadaniu fizyologicznego stanu medyów. Wprawdzie niektórzy przebąkują o istnieniu „naukowych" spostrzeżeń, ale właśnie ta okoliczność dowodzi, jak płytkie posiadają oni wyobrażenie o wymaganiach ścisłej metody. A zatem podstawa dalszych poszukiwań pozostaje do dzisiaj nietkniętą! Zresztą nie dziw, bo medyum jest uważane przez wyznawców czystego spirytyzmu, który wciąż nadaje ton prądowi „siły psychicznej," za swojego rodzaju świętość, ba! nawet za bożka, którego nie wolno znieważyć, chociażby tylko podejrzeniem. Kiedym wobec kogoś z tego zastępu wierzących przypuścił, że dane medyum może korzysta z podstępów, ów ktoś odpowiedział naiwnie: sądzisz pan zatem, że oszustowi dawałbym przytułek w swoim domu! Wyszło więc na to, że wszelkie podejrzenia względem medyum uważał za obelgę osobistą i tem niezręcznem postawieniem kwestyi uniemożliwił wszelką kontrolę, jakkolwiek krążyły po cichu wieści, że medyum było już demaskowane. Tymczasem miejmy to wciąż na uwadze, że ci nowocześni cudotwórcy, przynajmniej najsławniejsi, utrzymują się słusznie z odprawiania nabożeństw szamańskich i że wobec zapotrzebowania dreszczu nerwowego winni dokładać wszelkich starań, ażeby uczynić zadość wybrednemu smakowi miłośników zjawisk tajemniczych. Ci zaś zaprawdę są niemiłosierni. Przypuszczając nawet istnienie cudotwórczej siły psychicznej, niepodobna ażeby w takich warunkach nie została ona wyczerpaną. Następstwem zaś tego musi być oszustwo. Medyumiści, wogóle krytyczniejsi, uznają jego stałe a nieodzowne istnienie i nawet posuwają się tak daleko, iż twierdzą, że siła psychiczna odznacza się niezwykle rozwiniętym popędem do zwodzenia i oszukiwania. Niezacietrzewieni wyznawcy nowej prawdy wprost radzą patrzyć na każde zawodowe, medyum jako na zręcznego kuglarza.

Po tym nieco przydługim wstępie przejdziemy do literatury przedmiotu. Kiedyś przed laty wpadł mi do ręki przypadkowo jakiś druk, obwieszczający spirytystyczne wyznanie wiary. Przyznać muszę, iż niewiele miałem w ręku śmieszniejszych świstków. To też z pewnem uprzedzeniem zabrałem się przed kilku miesiącami do studyów nad literaturą danego przedmiotu, bardzo obfitą, jak to już zaznaczyłem w jednym z poprzednich artykułów. Doznałem jednak nielada zdziwienia, na co kładę nacisk, gdyż niejeden znaleźć się może w mojem położeniu. Istnieją książki, strawne nawet dla nie-spirytystów; powątpiewałem o każdym wierszu, ale swoją drogą czytałem te rzeczy z zaciekawieniem i nawet przyjemnością. Prócz faktów, dla mnie podejrzanych, nie raziły mię one ani zdawkową a buńczuczną frazeologią, jaką spotkałem w owym świstku, ani też wybrykami umysłu zabobonnego. Opisy były proste, wolne od podejrzanej przesady, często pochodzące od osób, które szydziły z obecności duchów, ale były przekonane o wiarogodności wydarzeń, niekiedy brzmiały aż nazbyt sucho, lecz właśnie ta okoliczność nadawała im piętno prawdopodobieństwa. Przyznam się, gdybym był naocznym świadkiem tych objawów, wykonywanych niby przez siłę psychiczną, nie inaczej zdawałbym chyba z nich sprawę. Zwłaszcza pociągały mię opisy kółek prywatnych, które przez wiele lat odbywały systematycznie posiedzenia choć raz jeden tygodniowo i ćwiczyły się, dopóki ten i ów z uczestników nie podawał o nich drobiazgowej wiadomości do czasopisma specyalnego. Owe cuda medyów zawodowych rzadko tam się zdarzają, natomiast zwykle więcej w nich jest zjawisk prostszych, mniej odbijających od obecnego naszego poglądu na świat. Słowem, pierwsze wogóle wrażenie, jakiego dostarczyło mi piśmiennictwo spirytystyczne, było raczej dodatniej natury. Sądzę, że każdy, z uprzedzeniem biorący się do studyów nad tym materyałem, znajdzie się w takiem samem położeniu i przytem podziw jego będzie tem większy, im bardziej nie dowierzał. I zapewne niejeden zada sobie pytanie: czyż podobna, ażeby te dziesiątki sążnistych niekiedy książek i czasopism, trzymanych w takim tonie powściągliwym i sprawozdawczym, były jedynie stekiem obłędu i przywidzenia? W tej mierze niechaj będzie nam wolno powołać się na przykład E. Hartmana, który rozczytując się w nagromadzonym materyale, nie będąc ani na jednym seansie spirytystycznym i nie oglądając żadnego medyum, tak dodatnie wyniósł wrażenie, że przyznał wiarogodność faktów, przypisywanych sile psychicznej, w tej zaś liczbie nawet tak złożonych, jak przenikanie „materyi" przez materyę. Najbardziej do takich wniosków będzie skłonny ten, kto się przyzwyczaił do sumienniejszego podawania faktów i mniej podejrzywa innych o nieskrupulatność pod tym względem. Tylko umysłom bardzo krytycznym radziłbym rozpoczynać od drukowanych dokumen-

---

jak konieczne. Prawda, że doszliśmy dziś prawie do kresu, po za którym dalej tak być już nie może. Prawda, że kobieta czuje dziś więcej, niż kiedykolwiek, iż siedzi na dwóch stołkach i strawia się w nerwowym niepokoju. Prawda, że wszystkie używane dotychczas narkotyki przestają już działać, że wszystko to, przed czem korzono się dawniej, w części już umarło, w części obumiera; że mężczyzna rani kobietę bezprzestannie, ona zaś pociechu i głośno oburza się na mężczyznę, prawda, że dzisiejsze stosunki podobne są do tej kuli, kołyszącej się na ostrzu pałeczki w ręce żonglera — więc cóż stąd wynika? Musi nastąpić zmiana.

Gdzie musi nastąpić zmiana?

Bebel i Stuart Mill, głośne i niegłośne bojowniczki praw kobiecych, i osobniki, skazane na celibat, wołają chórem: musi nastąpić zmiana we wzajemnym stosunku mężczyzny i kobiety.

Śmiem wygłosić straszną herezyę i powiadam: stosunek pojedynczego mężczyzny do pojedynczej kobiety może codziennie ulegać zmianie i stawać się takim, jakim dwa te osobniki mieć go sobie życzą, jeżeli oboje są ludźmi uczciwymi, o żywych sercach, a wrażliwego instynktu doboru nie zatracili. Oderwanie, wziąwszy ogólnie, stosunek między mężczyzną a kobietą nie ukształtuje się nigdy według pewnej, danej modły, a stanie się takim, jakim się właśnie stanie.

Może zajść wielka zmiana: ekonomiczne polepszenie bytu klas ubogich. Następstwem tego będzie poprawienie warunków zdrowotnych ludu, a prawdopodobnie i inteligencyi, ochrona setek tysięcy istnień od zaniku, powodowanego nędzą i niesprawiedliwością. Lecz stosunek między mężczyzną a kobietą, życie płciowe zaledwie na samej powierzchni otrzyma kilka trochę odmiennych rysów.

Liczba poligamicznych mężczyzn zmniejszy się może w górnych warstwach, lecz zwiększy u spodu. Kobiety zaś uprawiać będą prostytucyę nie z nędzy, lecz dla przyjemności. Nastąpi tedy tylko zmiana stosunków.

Ilościowe zmniejszenie pewnych minusów, lecz bardzo nieznaczna zmiana jakościowa.

Ludzkość — to przecież nie drewno, jak Stuart Mill, dla którego idealny stosunek płci polegał na prowadzeniu rozumnych rozpraw z kobietą. Jest to ogromne cielsko, pełne zarodków i sił, żądz, popędów i chuci, istniejących po to tylko, aby je to cielsko z siebie wyrzuciło: miliony na zanik, miliony na dalszy rozwój, miliony na zwyrodnienie.

Dotychczas religie posiadały część nadmiaru tych popędów, poskramiały je lub też skazywały na bezpłodność. Stanowiły one wentyl dla zbyt silnego ciśnienia płciowego. Wyprowadzały je, wynajdowały podniety zastępcze. W miarę tego, jak zaspokojenie płciowe zaczęło wymagać zaspokojenia duchowego zarazem, wierzenia stawały się piękniejsze, uzmysłowione, a jednak nadzmysłowe. Nie tyle o to już szło, czego religia uczyła, lecz *jak pobudzała*. W katolicyzmie, epoce Odrodzenia, popęd płciowy wysubtelnił się i pozostawił ślady swoje — jednolitą kulturę — w architekturze, malarstwie, muzyce. Portrety kobiece z tego czasu noszą wyraz sytości, zadowolenia, ciała są pełne, świetne. Ale z tejże epoki mamy epileptyczki, histeryczki, pół-idyotki, zatopione w ekstazie religijnej, ze spojrzeniem, które tak wymownie stan ich oddaje, jak *nigdy* już później nie odtworzył takiego spojrzenia malarz, nie widział go poeta, nie pojął uczony. To też ci starzy panowie nie byli moralistami, lecz psychofizyologami, czekającymi *dotychczas* na tłomaczów naukowych.

Katolicyzm wchłonął w siebie płciowość, już to podniecał ją, już to łagodził, zaopatrzył w odcienie, wytworzył w niej wrażliwość subtelniejszą, poczem oddał ją znowu życiu. Był on tylko zmysłowością. Jeżeli stawał się czemś innem, przyczyna leżała w temperamencie jego wykonawców. Temperament ten, trzeźwy, rozumny i karny, à la Bebel lub Stuart Mill, skręcił szyję wesołym nałogom Reformacyi i zmoralizował Europę północną.

Jakież było tego następstwo?

Tak, jakież było następstwo zwiększającego się rozumu i moralności, zniesionej prostytucyi i wprowadzonej monogamii? Jakież było następstwo tych praw moralnych, dyktowanych przez północno-europejską trzeźwość, nudę i nieczyste sumienie? O spaczeniu smaku, trwającem dotychczas, o upadku sztuki, o zatracie poczucia stylu wcale już nie wspomnę. Lecz było jeszcze ważniejsze następstwo — proces przeciwko czarownicom.

tów. Nie będąc świadkiem ani jednego objawu, ktoś może stać się medyumistą, gdyż owe zjawiska mają to do siebie, że umysł do nich łatwo się przyzwyczaja. Odpowiadają one instynktowi samozachowawczemu i pozwalają uczuciu prząść wątek przypuszczeń, targany przez dotychczasową psychologię fizyologiczną. Skoro wtargnęły one do umysłu i zawładnęły nim, ciężko naówczas je wykorzenić stamtąd. Uprzedzenie nie pozwala widzieć żadnych dowodów przeciwnej strony, pozbawia umysł krytycyzmu. Znam takich, którzy na moje powątpiewanie szczerze a węzłowato odpowiadali: nie przekonywaj, bo mi z tem dobrze!..

Dopiero wtedy zdobywamy jakiś probież krytyczny względem tak prostych sprawozdań, gdy bliżej zetkniemy się z posiedzeniami spirytystycznemi i poznamy warunki układania drukowanych dowodów. Pod tym względem znalazłem się osobiście w dość dogodnem położeniu. O medyum, którego seansów byłem uczestnikiem, jedno z czasopism spirytystycznych drukowało sprawozdania, a muszę zaznaczyć, że właśnie to wydawnictwo czyni na czytelniku stosunkowo najlepsze wrażenie ze wszystkich swoją prostotą i naturalnością. Na mocy osobistego więc doświadczenia mogłem sprawdzić każdy niemal ustęp i ocenić, o ile sprawozdawcy wnoszą do przedmiotowego komunikatu swoje sympatye i poglądy. Przeczytałem umyślnie te opisy przed seansami. Fakty były nieprawdopodobne, lecz zdawanie z nich sprawy nie budziło podejrzeń, owszem, odznaczało się naturalnością i szczerością. Rzecz to zrozumiała: warunki seansu, te właśnie, z powodu których nie wolno przywiązywać do objawów najmniejszej wartości, umiano tam postawić w takiem półświetle, że traciły swoją ostrość... Później, na sobie samym i na swoich towarzyszach zdołałem sprawdzić, jedno za drugiem, każde wrażenie. Muszę naprzód przypomnieć, że przeciwko pewnej części objawów nie mam najmniejszego dowodu faktycznego; nie przyznaję ich wiarogodności tylko dlatego, że byłem jako ślepy, któremu kazano dotykiem odróżniać kolory i nie zdołałem poznać, czy się nie kryją w tem sprężyny kuglarskie. Natomiast o innych, względem których byłem szczęśliwszy, mogę na pewno twierdzić, że albo były matactwem lub też złudzeniem uczestników (białą powłoczkę na łóżku mój bezpośredni sąsiad w ciągu całej części seansu brał za obłoczek!). Otóż różne te objawy, które, mimo że nie posiadam ostrości zmysłów, ujawniły wobec mnie całe nieprawdopodobieństwo; wszystkie subjektywne złudzenia wzroku i słuchu, które poznałem dostatecznie i nauczyłem się wyróżniać, wniesiono tam, jako rzeczy niewątpliwe! Materyał, wzbudzający takie zaufanie przy czytaniu, stracił dla mnie wartość po przyjrzeniu się, w jaki sposób drukowane słowo odtworzyło rzeczywistość. Również przekonałem się, że nie można ufać zbiorowym protokułom; więcej wiarogodności wzbudzają we mnie rzeczy, pod któremi ktoś osobiście podpisałby swoje nazwisko; przyjrzałem się bowiem warunkom powstawania takich masowych cyrografów. Uczony, zanim przyzna jakiś fakt, sprawdzi go kilkakrotnie, zbada uważnie i wszechstronnie. Fizyk i chemik, chociaż mają do czynienia nie ze zwodniczą i figle płatającą siłą psychiczną, lecz ze zwykłą martwą materyą, każdy nowy objaw raczej położą na karb przypadku, skoro nie uda im się go otrzymać powtórnie. Tymczasem protokuły spirytystyczne sporządzano bywają na podstawie wrażenia subjektywnego, doznanego w warunkach nader podejrzanych i bez znajomości szczegółów; przynajmniej jeśli wszystkie dowody w ten sposób powstają, jak te których byłem świadkiem, naówczas setki broszur i opisów cudów seansowych nie warte są funta kłaków i jedynie bałamucą tych, którzy nie mogą pogodzić się z myślą systematycznej niesumienności. Naturalnie, większą wiarogodność przedstawiają opisy, zaczerpnięte z kółek prywatnych. Pochodząc z najrozmaitszych miejsc i pisane przez nieznające się nawzajem osoby, noszą one na sobie wszakże taki jednolity charakter, że czytelnikowi jakoś trudno pogodzić się z myślą, ażeby na seansach nic więcej nie było krom objawów nieświadomej cerebracyi oraz oddziaływania myśli na odległość. Ale ufność ta zostaje zachwianą, skoro wejrzymy w stany subjektywne tych, którzy uczestniczą w takiem kółku. Podstawą seansu bywa „łańcuch,“ tj. uczestnicy trzymają się nawzajem za ręce. To spoidło, odgrywające w spirytyzmie ogromną rolę, działa w ten sposób, że podniecenie i rozdenerwowanie jednego niebawem udzielają się innym. Medyum trzęsie się całem ciałem, wpływ zaś na mózg i wogóle na świadomą jego działalność ze strony tych drgań konwulsyjnych już eśmy rozpatrywali. Jeżeli ręce spoczywają na stole, drgającym wraz z medyum i wzmacniającym jego oddziaływanie na innych, objawy te, dzięki łańcuchowi, przenoszą się na uczestników. Łańcuch stanowi część nieodłączną seansów, znano go nawet w starożytności, bo Tertulijan wspomina, że kapłani pogańscy, podczas czarów z odgadującym stolikiem (*mensa divinatoria*), tworzyli taką „catenę.“ Po pewnym czasie mózgi zostają ubezwładnione, a nadto zapanowywa w nich owa uległość względem cudzej myśli, która manifestuje się między innemi zdolnością odgadywania. Najbardziej wierzący i zatem najczynniejszy umysł działa wtedy bezpośrednio i z odległości na inne i usposabia ich w pewnym zakresie. Nadto należy jeszcze zwrócić uwagę na jeden szczegół. Sceptycy na seansie przeszkadzają, także jak nowe osoby. To znaczy, że pierwsi niepoddają się ogólnemu nastrojowi i swojemi uwagami lub odpornością fizyologiczną targają prawidłowość współdrgania i następującą po nim bezwładność mózgową; nowi zaś uczestnicy jeszcze się nie przystosowali do otoczenia, więc taki sam wywierają skutek. Kółko prywatne zaczyna działać należycie dopiero, gdy pozbędzie się fizyologicznych sceptyków, tj. takich, którzy umysłowo wierzą, lecz są oporni względem drgań, oraz gdy w ciągu wielu seansów doprowadzi swoich członków do tego, że będą mieli niby jedną duszę. Może w rzeczy samej są to warunki, niezbędne dla ukazania się objawów bardziej złożonych, jeśli te istnieją, ale każdy przyzna, że nader mało sprzyjają one przytomności umysłu i ostrożności sądu. Wreszcie, uwzględnijmy tę jeszcze okoliczność, że w takiej bezwładności krytycznej w ciągu wielu tygodni ćwiczą się jedynie te osoby, które już z góry wierzą w objawienie prawdy spirytystycznej i głowę mają pełną

Dotąd posiadamy tylko urzędowe, historyczne wyłożenie faktów. Jeżeli mieć będziemy kiedyś psychofizyologiczną historyę rozwoju ludzkości, albo przynajmniej taką historyę środkowej i północnej Europy, okres ten odznaczać się będzie najwypuklejszą plastyką.

Procesy przeciwko czarownicom były poprostu ujściem dla wstrzymywanego, nagromadzonego popędu zmysłów. Popęd ten, który upływał dawniej obficie w publicznych zabawach, ucztach, hulankach, w pokucie i ekstazie religijnej, został na długi przeciąg czasu zatamowany. Obrządek protestancki był jednostajny, trzeźwy, wyzuty z wszelkich czynników wyobraźni. Ustanowiono dla związków fizycznych między ludźmi miarę minimalną: związek męża z żoną. Miało to wystarczyć. Otrzymali nieograniczone prawo do zawierania związków małżeńskich. Basta! Ale to nie wystarczało.

Niezajęta wyobraźnia leżała odłogiem i pracowała w próżni. Życie stało się puste i brzydkie, a i fantazya znów brzydką, jak w początku wieków średnich. Lecz z pod nacisku powszechnie panującego rozumu i przyzwoitości nie śmiała wytrysnąć naiwnie w całej swojej brzydocie. Dla nadmiaru zmysłowości, który pragnie wyszumieć w szale, w rozpuście, w pokutach, w pracy twórczej, w nieskończonej różnolitości przejawów życia, przy nieskończonej różnolitości podniet—dla tego wszystkiego nie było ujścia. Trzeba było być cnotliwym i oschłym. Było się więc oschłym i cnotliwym.

Lecz uczucie siły życia, a uczucie płciowe — to jedno. Ludzkość nie istniałaby już i nie ruszyłaby się z miejsca, gdyby nie była wrażliwą na podniety i gdyby te podniety naprzód jej nie pędziły. A oto dostęp do podniet, który za czasów Odrodzenia stał otworem dla popędów silnych i słabych, normalnych i przewrotnych, bezpośrednich i złożonych—został zagwożdżony. Dany okres kulturalny staczał się ku schyłkowi. Wynalazczy popęd płciowy jął szukać nowych podniet.

I znalazł je. Niewyznawane żądze nieczystego sumienia, ukrywane potajemnie jak występki, które zakwitły w następnej epoce pietyzmu, tchórzliwe podniety z wyobrażeniami lubieżnemi, które zazwyczaj występowały tylko wśród umartwień klauzury klasztornej, wjadły się teraz przedewszystkiem w czcigodnych księży, przewodników czystego życia rodzinnego, zaraziły również czcigodnych rajców i wójtów i inne osoby, u steru stojące, jak mur szły dalej — do „prostego ludu“ i wir zwierzęcej fantazyi rozpłynął po krajach, przejawiając się zewnątrz w pozornem zbezeczeszczeniu kobiety. Psychoza mas, której wyrazem jest prześladowanie czarownic, pochodzi aż z nadto wyraźnego źródła: niezaspokojone przez monogamię pożądanie kobiety, gwałcone a niedające się zgwałcić pragnienie podniet różnorodnych ulega wreszcie spaczeniu i szuka zaspokojenia w dziwacznie lubieżnych obrazach i wizyach kobiet, wdających się z szatanami — a więc w zajściach, krążących wciąż wokoło lubieżnej żądzy ogółu. W tych, z coraz gwałtowniejszą siłą szerzących się halucynacyach orgii szatanów i czarownic odbija się tak potwornie rozwinięta brutalność wyobraźni, o jakiej do owego czasu nie słyszano i która może być tylko wynikiem powstrzymywanych popędów w masywnym, silnym organizmie. Dla faktycznego zaś uzewnętrznienia podniet, przez wizye te wywoływanych, wynaleziono szczegóły procesów, które pod względem pożądliwości i spaczenia instynktów, nie mają nic sobie równego.

Oto jeden wynik — umoralnienia mężczyzn. A jaki jest rezultat umoralnienia kobiet?

Posiadamy z tej epoki dwa dowody, świadczące o psychofizycznem życiu kobiety: portrety niewiast ówczesnych w galeryach i zachowanie się kobiet wobec procesów z czarownicami.

Mówię tu zawsze o ludności Niemiec północnych, wogóle o ludności północnogermańskiej, którą w książkach swoich badają Stuart Mill i Bebel.

Nadto zaznaczam, że od tej to epoki zaczyna się choroba Europy północnej, trwająca dotychczas w całej swojej sile.

Przełoż. *Malwina Posner-Garfein.*

KONIEC.

przesądów. Dla takich umysłów przypadek jest wykluczony, każdy szmer i wogóle objaw, którego źródło nie rzuca się wyraźnie w oczy, zostaje położony na karb tajemniczej ręki astralnej. Wypróbowałem trzask w stole, pochodzący z pękania w nim włókien a przypominający jakby uderzenia paznokciem. Powstaje on przy kołowo-wibracyjnem drganiu paru rąk, zwłaszcza jeśli kierunki są odmienne. Otóż niechaj na sto tych odgłosów zdarzy się jeden, który „uskutecznił“ dany rozkaz, tj. powstał w nakazanem połączeniu z następnym, naówczas 99 innych idzie w niepamięć. Sprawozdanie wspomina o tamtym, przemilcza zupełnie o ostatnich. Trzeba być chłodnym świadkiem takich doświadczeń, naocznym widzem owych błędów, ażeby nauczyć się cenić wartość sprawozdań i wszelkich dokumentów drukowanych. Mój sceptycyzm względem tego materyału, który z pozoru jest dość wiarogodny ze strony formalnej, wzmógł się właśnie po osobistem zetknięciu z warunkami seansów. To zaś, co najciekawsze i co, nawet gdyby wszystkie podawane objawy były fałszem, jest doniosłym dobytkiem dla nauki, mianowicie stan medyów z ich niewiadomą cerebracyą — to właśnie systematycznie bywa pokrywane milczeniem. Niekiedy tylko przemknie się jakaś luźna uwaga, ale i ta nawet, pomimo dorywczości swojej, dowodzi, że jest tam nad czem posiedzieć dla fizyologa.

Na tem przerywam moje artykuły o medyumizmie, chociaż mam nadzieję, że z powodu odkryć Hadgsona niebawem znowu wrócę do owego przedmiotu. Kuglarz ten dokonywał wszystkich sztuk, jakie czynią medya; Wallace z tego powodu podejrzywał go o zdolności medyumiczne; obecnie zaś pospieszył z wyjaśnieniem tajemnicy. W swoich artykułach poprzestałem jedynie na tem, do czego doprowadziły mię doświadczenia osobiste. Wziąłem się do studyów bez żadnych dogmatów, nie podzielając naiwnej obawy, że podawane fakty podkopią powagę dzisiejszej wiedzy, ani nie wyznając tak szkodliwego uprzedzenia, żeśmy już zjedli wszystkie rozumy. Faktycznie wątpiłem, ale teoretycznie nie widziałem niemożliwości pewnych zjawisk. Rozczytywanie się w literaturze przedmiotu raczej wzmocniło tę ufność. Osobiste doświadczenia wykazały mi wielki wpływ drgań na działalność umysłową, chociaż dopiero zapoznałem się z niższymi stanami i nigdy nie miałem przed sobą istotnego „transu.“ Lecz jednocześnie wykazały one, że właśnie ten stan subjektywny, udzielony innym przy pomocy łańcucha, niszczy ostrożność myśli i panowanie nad złudzeniami. Udział w seansach zawodowych odkrył przede mną łatwowierność ludzką i rzucił pewne światło na taktykę medyów. W rezultacie powątpiewanie moje jest silniejsze, niż dawniej. Chociaż drzwi spirytystów są dla mnie zamknięte, myślę dalej prowadzić swoje studya. Nie idzie mi o fenomenologię cudów, lecz o psychologię medyów i łańcuchów — tę zasadniczą a dotychczas mało zbadaną podstawę pierwotnego kapłaństwa i późniejszego sekciarstwa. *L. K.*

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA SZWEDZKA.

Ola Hansson, *Fru Ester Bruce* (Pani Estera Bruce). Chrystyania, 1894.

Chmielem porosła werenda, pół dachu szklanego okrywa cień, przez polowę padają smugi światła. Przed schodami skąpane w promieniach żwirowe ścieżki ogrodu, pośrodku nad szerokim kobiercem zieleni zegar słoneczny, hen dalej błyskają na grządkach żółte i winnoczerwone tulipany. Potem żywopłot z furtką, obielony pyłem gościniec, z prawej strony wieś z dzwonnicą, gromadkami wierzb i wiązów, prościutko równina falująca zbożami, tu i owdzie upstrzona zagrodą włościańską, skąd dym idzie i gdzie wieniec drzew się chwieje.

W tej wiosce południowo-szwedzkiej, prawie w domku, przed którym dyrektor cukrowni, Bunth, wybudował altanę, zamknięte zostały dzieje powieści Oli Hanssona, pierwszej w tym zakresie próby pisarza. Dotychczasowy plon jego pracy zawiera prócz krytyk trzy zbiory powiastek. Właściwie i „Pani Estera Bruce“ rozmiarami nie o wiele przerasta nowelę, zbliża się jednak do większego utworu pokrojem epicznym i wyczerpującą charakterystyką bohaterki. Zewnętrznie pokrewna jest z nowelami Turgieniewa: kartka z życia prowincyi, prowadzenie kilku mniej lub więcej wyraźnych, ubocznych akcyj celem skreślenia środowiska. Najważniejsza w niej przedstawienie kobiety, inne niż w spółczesnej literaturze szwedzkiej. Ola Hansson, chociaż przyjaciel i czciciel Strindberga, nie stworzył ani pantery, ani bachantki; przeciwnie, Estera Bruce należy do najsympatyczniejszych postaci kobiecych w powieści dzisiejszej.

Na zielonem krześle altany Bunth czyta gazetę. Żona siedzi po drugiej stronie stolika. Dzień czerwcowy, gorący, z ogrodu dolatuje muzyka pszczół i owadów, czasami wpadnie do wnętrza osa, zawiśnie, rzuci się w obie strony, siądzie, krąży znowu, odpoczywa i wylatuje, jak kula, na słońce.

U furtki stanął młody mężczyzna siwo ubrany, z czarną mapą pod pachą, nieco opalony. Waha się czy wejść, skrzypnęły wreszcie drzwiczki.

Jest to Lars Akesson, syn zamożnego włościanina, adwokat, przyjaciel Buntha z ławy szkolnej. Przypadek zbliżył ich ongi — opór przeciw nauczycielowi; odtąd szli ręka w rękę. Po skończeniu uniwersytetu zmuszeni byli rozstać się, myśleli jednak o sobie i przy pierwszej sposobności Lars umieścił Buntha w miejscu rodzinnem. Opróżniła się posada kierownika cukrowni, złożył co prędzej kaucyę za przyjaciela i oto teraz żyją przy sobie.

Lecz monotonność prowincyi przygnębia młodego człowieka. Subtelny, wydelikatniony, czuje się jak kwiat na wydmie piaszczystej. Wrażenia wracają te same, zawsze w równej liczbie, jak zęby tartakowego koła; dzień po dniu mija jednostajnie. Ludzie spotykani—obcy duchem i różni, otoczenie: idyota dziedzic Göran, jego przyjaciel wysłużony oficer Edelborg, dziedziczka, zakładająca się, czy w czterdzieści minut przejedzie wierzchem z Söreborg do Brönneholm. Pastor Efraim, hypokryta o nizkiem czole, szerokich nozdrzach i chytrych oczkach, weterynarz Bertelson, stale podochocony. Rozrywki: raz na tydzień partya wiru latem na werendzie, zimą w ciepłym pokoju, piętnastego lipca imieniny pana burmistrza, dziesiątego sierpnia pani Lund, około Bożego narodzenia kulig.

Dochodziła czwarta po południu; salon u Bunthów prawie wypełniony, towarzystwo brzęczy, jak rój. Panowie mówią głośno, damy śmieją się wymuszenie. Wnet będą prosić do stołu, myśli okrążają półmiski.

Jeden z ostatnich przybył Akesson. Przyjęcie z okazyi przyjazdu pani Bruce, towarzyszki żony Buntha. Dyrektor ujął przyjaciela pod ramię, przedstawił nowoprzybyłej.

Rozmawiali z sobą mało, ledwie kilka razy adwokat rzucił okiem na bladą, o sympatycznej twarzy kobietę. Koleżanka z pensyi Emilii Bunth, wyszła potem za mąż, lecz zły los wyciągnęła. W młodą duszę życie wbiło cierń. Nieszczęśliwa z mężem, kilka lat cierpiała, uzyskała w końcu rozwód. Zasyczały wkoło plotki; chcąc wyrwać się z ich koła zaczarowanego, wyjechała na południe. Wracała teraz i po drodze odwiedziła przyjaciołkę.

Bunth i stara pastorowa bawiły ją podczas wieczerzy, panowie oglądali jak nowonabyty sprzęt. Chociaż czuła się w dusznej atmosferze, zachowywała obojętność. Lecz Lars wśród trzody, którą tylekroć obejrzał pasącą się, słuchając komplimentów, na jakie zdobywali się „znawcy“ względem pani Bruce, wpadł w rozdrażnienie. I gdy wieczorem spotkał ją w ogrodzie, czuł potrzebę wypowiedzenia się.

— Komiczne nasze otoczenie — rzekła Estera.

— Tak, ale ów komizm codzień spożywany przestaje smakować. We mnie budzi już wstręt.

Nowe spotkania, nowe rozmowy i węzły przyjaźni między samotnymi zacieśniają się. Ranek, na wiązach i kasztanach przydrożnych błyszczą kropelki rosy, kury pieją. Akesson wyjechał wcześnie, bo ma wiele spraw de załatwienia. Na zakręcie drogi spostrzegł panią Bruce z odkrytą głową, z parasolką w ręku.

Zawiązują pogadankę; powietrze świeże, myśl jaśniejsza i słowa — zresztą obojętne — głębiej wpadają do duszy. Kilka chwil zwykłej rozmowy; czemu umysł tak żywo ją chwyta, czemu bawi się nią i rozkoszuje, jak świeżem kwieciem?

We wsi naprzeciw kościoła droga się dwoi. Aleja młodych drzew prowadzi do świeżo zbudowanego domu, krytego dachówkami. Wokoło ogród i kwiaty, wodotrysk bije w górę, dzikie wino rozpięte na altanie.

Mieszka tu Akesson. Dziś wieczór ciepły, cichy, nad łąką przylegającą do domu srebrzy się mgła, księżyc świeci. Okna rozwarte, przez nie gwar się rozlega. Lars urządził na cześć pani Bruce ucztę. Otóż oni; Estera przygląda się widokowi. Kościół połyskuje nad czarnemi grupami drzew, w dali czerwone budynki cukrowni, na tylnym planie krajobrazu morze.

— Jak tu pięknie! — mówi ona.

— Tak, pięknie — odpowiada Lars. W dzień całe życie wydaje się jakieś biedne, nudne, chciałoby się je porzucić. Ale nocą, jak dziś niknie tęsknota, ustępuje raczej miejsca innej, nieokreślonej, błogiej.

— Jak dziwne, że i tu wśród czerstwego ludu nie chcą usnąć marzenia.

— A czy i pani sama nie jest marzycielką?

— Byłam nią kiedyś panie, mam już trzydzieści siedem lat i córkę jedenastoletnią. W takim przeciągu czasu wiele w człowieku splonie i zwęgli się. Jednak Lars przypomina sobie słowa Bliblii: „Dziecię nie zmarło, ono śpi.“ Zdaje mu się, że dawne stany duszy nie giną, że istnieje trąbka, mogąca je zbudzić. I nie krępuje myśli, pieści je, zasłuchany w odgłosie budzącej się miłości. Dziś szemrze ona, jak listki młodego dęba na wietrze porannym, lecz jutro zaszumi jak niwa ciężka kłosem, a pojutrze może wicher się zerwie i całą duszę wstrząśnie i do głębi poruszy?

Bunthom odkrywa ciche swoje uczucie. Ludzie nie mogą się nadziwić. Kocha kobietę dobiegającą czterdziestki! Wynosi niesmak z rozmowy z nimi, jednak czuje się prawie wesołym. Rwie kłosy zboża obok ścieżyny, rozciera ziarna i patrzy, czy dojrzałe. Gdy wszedł na wzgórze, dostrzegł kobietę z córką. Dwie dalekie postacie coraz maleją, lecz on w myślach widzi je przy sobie, widzi głębokie oczy Estery, piękne czoło, uśmiech serdeczny na twarzy i młodą, gibką postać...

Niespodziewane spotkanie w Kopenhadze dawnego męża pani Estery, malarza Holmgrena, brutala zakochanego w kieliszku i trwoniącego grosz, przyśpieszyły

postanowienie Akessona. Nazajutrz po powrocie poszedł do mieszkania Bunthów.

Poranek był chłodny, napojony wilgocią jesieni. W rowach przy gościńcu lśniła woda po kilkudniowym deszczu, tu i ówdzie listek zżółkły. Dym szedł w górę, znak że dzień będzie piękny. Przebył całą drogę i wyciągał właśnie rękę ku drzwiczkom ogrodu, gdy naraz przed sobą ujrzał tę, ku której zdążał.

— Czy pan znowu wkrótce wyjeżdża? — spytała.

— Nie, tym razem podróż ma skierowana ku pani.

Ręka jej ześliznęła się z klamki, spuściła oczy i stała milcząca.

— Tak, odrzekła wreszcie, to może i najlepiej.

I otworzywszy drzwiczki poprosiła go do ogrodu.

Szli w milczeniu kilka chwil, wreszcie znaleźli się przy ławeczce zielonej, osuszonej już przez słońce. Daleko od domu. Chwilami z pobliskiego drzewa odrywały się krople wody. Usiedli, cisza była w koło on zaczął:

Kochał ją, niewypowiedzianie.

Estera wiedziała o tem, z kilku słów jego dawniejszych, z krótkiego pożegnania przed wyjazdem do Kopenhagi, z powitania. Lecz z tego wszystkiego nic nie będzie.

Nie drgnął, ale twarz mu zbladła. Wiatr z liści strząsnął kilkanaście kropel. Wymówił wreszcie:

— Estero, ty mnie nie kochasz.

Całował jej rękę, ona siedziała bezwładna i spoglądała przed się z bolesnym uśmiechem.

— Nie, nie mów mi tak. Nazajutrz po gościnie u ciebie, gdy otwierałam rano okno, poczułam pewność, że cię kocham. Zdawało mi się, w życiu mem ponurem jak zachmurzony widnokrąg, zajaśniał naraz pas błękitu. Ale chmura wnet zasnuła błękit.

Czy pamiętasz, jakeś pytał, czemu ja zawsze chodzę czarno? Nie odpowiadałam, teraz wyjaśnię. Chodzi się czarno nietylko po ojcu i matce, nietylko po ludziach, lecz i po tem co przeszło. Nosi się żałobę po tem, co zmarło w nas, co w naszej duszy znieważono, zdeptano.

Mówię wszystko spokojnie i wierzę, że mnie zrozumiesz.

Wydano mię, wybrałam raczej sama Holmgrena. Czemu — nie wiem. Dla kilku zalet zewnętrznych, cech powierzchownych. Zanadto przygniatają w nas umysł i uczucie, byśmy wiedziały na progu życia, co mamy wybierać. Słowem, nie kochałam poślubionego. W miłości przebaczyłabym mu wady, złe strony. Ale ziarno sympatyi nie kiełkowało. Zawrzała walka i przez pięć lat targała mój umysł. Są kobiety, które wychodzą z takich zapasów pełne siły, mnie życie zdruzgotało.

Szukałam odtąd spokoju w zapomnieniu, podróżowałam, oddałam się wychowaniu dziecka. A lata płynęły. Poznałam ciebie. Uczuwszy miłość, pytałam się, czy mam do niej prawo. Z początku zdawało się: tak. Po dłuższej rozwadze zmieniłam przekonanie. Życie ludzkie jest jak życie listka. Raz tylko z pąka wytryska, raz tylko pełne zieleni i soku. Gdy żółte prążki zaczną go przerzynać, niech się gotuje na wiatr zimny i śmierć w polu.

— A miłość moja, czy nie wystarczy dla nas obojga?

— Drogi mój, za młodu wierzy się w siebie, ale lata wciąż przybywają i widzimy nareszcie, że one są naszymi władcami. Tej chwili najbardziej obawiałabym się.

Lecz muszę ci podziękować za to, co mi dałeś; za najlepsze chwile w mem istnieniu, więc przebacz, że ból ci sprawiam. Przyjmij podziękowanie i żegnaj.

Pocałowała go w czoło. Wstała i znikła w alei.

Nazajutrz odjechała; Bunth i Akesson towarzyszyli jej na dworzec.

Motywowi poruszonemu Ola Hansson potrafił użyczyć świeżości, ze strun często nastrajanych nowe wywołać dźwięki. Razi nieco mieszczenie obok pięknych postaci Estery i Larsa, banalnie romansujących Edelborga i żony Gorana, pani Bunth i pastora. Chodziło jednak autorowi o uwydatnienie przez przeciwieństwo; piękniejszy motyl obok liszek.

Nastrój smętny i cichy przenosi się w duszę czytelnika. Ów Lars Akesson, Estera Brace—to łany zboża, które dojrzewa, wypełnia się w kłos, stroi w maki czerwone i chabry błękitne. Lecz pod koniec czerwca deszcz uderza, nadciąga słota kilkutygodniowa, i kłosy gną się do dołu, z kwiatów liście oblatają, a chociaż słonko nareszcie błyśnie, niwa już nie odżyje. Ziarno wysypało się, źdźbło zostanie pochylone do chwili, gdy sierp je zetnie.

W. Bugiel.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z NIEMIEC.

Berlin, 29 lipca.

Los subjektów handlowych. — Cła zbożowe.

Świeżo wydana broszura F. Goldschmidta o „społecznej pozycyi subjektów hadlowych" zawiera tak wiele ciekawego materyału, że warto kilka słów o niej powiedzieć. Według statystyki stowarzyszenia pomocy w Berlinie, która jest zarazem biurem rekomendacyi pracy na 3,532 wypadków zaledwie *piąta* część kandydatów posiadała wykształcenie sześciu klas gimnazyalnych (627) i tylko *trzecia* część znała zasady buchhalteryi podwójnej (1413). Według danych innego stowarzyszenia, z 1764 członków tylko czwarta część (465) skończyła szóstą klasę. W Brunświku z 743 młodych ludzi było takich zaledwie 200, reszta zaś (541) posiadała tylko wiadomości elementarne. Dzieje się to w Prusach, zajmujących pierwsze miejsce w Europie pod względem zabiegów o oświatę. Niedawno ogłoszono statystykę ostatniego poboru rekrutów, która wykazała zupełny brak analfabetów w Niemczech właściwych (drobny ułamek procentowy pochłania w zupełności Księstwo Poznańskie i Szląsk). Widzimy zatem, że zaledwie cząstka może dzieci swe kształcić w zakładach. Trzeba bowiem wiedzieć, iż owa „szósta" klasa jest dlatego tylko ostatnim szczeblem wiedzy dla mniejszości młodzieży handlowej ($^1/_3$, $^1/_4$, $^1/_5$), że jej ukończenie uprawnia do odbycia w charakterze ochotnika roku służby wojskowej zamiast dwóch. Nie idzie tutaj o niewygody samej służby — ile o koszty jakie pociąga za sobą odrywanie chłopca od zajęć, które powinny mu dać już utrzymanie. Kończy więc sześć klas dlatego, ażeby „zarobić" połowę straconego czasu na posterunku żołnierza. Ale to mniejszość zaledwie — „szczęśliwców," bo według prostego rachunku (p. wyżej) $^2/_3$, $^3/_4$, $^4/_5$ tej młodzieży handlowej nawet tak skromnego nie posiada wykształcenia. Nie zapominajmy, że cyfry nasze pochodzą przeważnie z Berlina i miast przemysłu wielkiego, gdzie żądania są większe, współzawodnictwo trudniejsze. Cóż dopiero dziać się może w prowincyi, gdzie wymagania obustronnie są mniejsze?

Nie lepsze warunki wykazuje statystyka płac pobieranych przez tę młodzież. Według ankiety Towarzystwa wzajemnej pomocy, istniejącego w Lipsku przeciętna płaca subjekta handlowego w miastach nie liczących więcej nad 20 tys. mieszkańców, wynosi 540 mar. (prócz utrzymania i mieszkania), w najlepszym razie 720 — 1080 marek. W największych miastach 1200—1300 marek rocznie. Są to najwyższe płace, o jakich marzyć mogą owi pracownicy. Goldschmidt podaje listę płac 5000 członków zapisanych do „Związku niemieckich subjektów handlowych" w Berlinie, Wrocławiu, Dreznie, Frankfurcie, Królewcu: 2141 osób otrzymywało do 1000 marek, 2780—do 2000, 207 do 3000 m. i 46 ponad tę ostatnią sumę (wszyscy bez wiktu i mieszkania). Niedawno 51,000 interesowanych subjektów przesłało kanclerzowi Capriviemu podanie, przedstawiające obraz ich warunków materyalnych. Brakom powyżej wskazanym można zaradzić przez rozumnie obmyślony i przeprowadzony system wykształcenia dopełniającego. O to jednak nikt się zgoła w Prusiech nie troszczy. W Saksonii jedna „szkoła handlowa dopełniająca" przypada na 100 tys. mieszkańców, na Szląsku austryackim jedna na 120 tys., w Badeńskiem na 150 tys., w Czechach na 167 tys., w Würtemberskiem na 286 tys., w *Prusiech* na 386 tysięcy mieszkańców.

Mówi się wiele w ostatnich miesiącach o cłach zbożowych. Przedewszystkiem traktat handlowy rusko-niemiecki wywołał bardzo silną wymianę zdań w tym przedmiocie, następnie znowu, kiedy nadzieje na wyższe ceny zboża zawiedzione zostały—mówiono i mówi się znowu o tem samem. Zresztą w ostatniem dziesięcioleciu i w kraju rolniczym rozprawiać i pisać o tych bólach musimy ciągle. Nie spotkałem mimo to na łamach naszego pisma porównawczego zestawienia wysokości ceł zbożowych dla państw europejskich i Ameryki, przypadkowo znalazłem się w posiadaniu danych statystycznych i sądzę, że nie będzie zbytecznem, jeżeli się podzielę niemi z czytelnikami naszymi. Cyfry pochodzą z angielskiego „Board of Trade Journal." Ponieważ chodzi nam o porównanie tylko, więc zostawiamy miary i ceny angielskie dodając tylko, że 12 pence'ów stanowi 1 markę niemiecką, a więc blizko 40 kop., a centnar angielski waży 50,8 kilogr. I tak — w Portugalii dowóz pszenicy zupełnie wzbroniony (inne zboża płacą 44 p.) w Hiszpanii pszenica płaci 39 (inne zboża $21\frac{1}{2}$ pen.), we Francyi pszenica $34^1/_4$ (żyto $14^3/_4$) pen., we Włoszech oba rodzaje zboża — $34^1/_4$, w Niemczech—$21^1/_4$, w Austro-Węgrzech $18^1/_4$, w Grecyi pszenica $15^3/_4$ (inne zboża $11\frac{1}{2}$) p., w Szwecyi—$8\frac{1}{2}$, w Szwajcaryi i Norwegii po $1\frac{1}{2}$, Anglia, Rosya, Rumunia, Dania, Holandya, Belgia — nie posiadają ceł na zboże, przywożone z zagranicy; Stany Zjednoczone każą płacić $12^3/_4$ (żyto 5) pen. za buszel, Bułgarya $8\frac{1}{2}$%, Turcya 8% od wartości. Zaznaczyć atoli należy, że państwa, które nie uznają ceł zbożowych nakładają je na mąkę. Tak w Rosyi cło to wynosi $35^3/_4$ pens. od centnara, w Rumunii $58\frac{1}{2}$ pens. Anglia, Holandya, Dania i Belgia — nie korzystają i z cła na mąkę. Natomiast w innych jest ono cięższem jeszcze od cła na zboże. Stany Zjednoczone w stosunku do Kanady obarczają dowożoną mąkę cłem równającem się 25% wartości.

Zen. Por.

ŻYWIENIE SIĘ LUDNOŚCI WIEJSKIEJ W GALICYI.

I.

W końcu roku 1877 osobna komisya pod przewodnictwem dr. Wereszczyńskiego, posłów Grossa i Hausnera oraz prof. Pilata podjęła w Galicyi pierwszą próbę badań nad żywieniem się

ludu wiejskiego. Rozesłano wówczas kwestyonaryusze przez wydziały państwowe do „osób, mających ciągłe stosunki z ludem,“ a więc przedewszystkiem do duchowieństwa. Na 1,148 zeszytów z odpowiedziami około 500 omawiało stosunki włościańskie. Materyał w ten sposób zebrany opracował i ogłosił drukiem prof. J. Kleczyński w „Wiadomościach statystycznych“ z roku 1881.

Jednakże praca powyższa w natłoku pytań, na które odpowiedzieć pragnęła, z kwestyą nas obchodzącą załatwić się musiała zbyt ogólnikowo; jakoż istotnie znajdujemy tu tylko rzut oka na przedmiot, nieprzedstawiający żadnego interesu naukowego. Najciekawszym może jej ustępem jest sprawa poprawienia się stosunków od chwili zniesienia pańszczyzny: „Od tego czasu miały zajść zmiany na lepsze. Włościanie jedzą obficiej, potrawy ogólnie są przyrządzane smaczniej, lepiej osolone i okraszone; używają też mąki bielszej, więcej nabiału i mięsa. Nadto powszechnem stało się użycie herbaty z rumem... Kawa rozpowszechniła się w 28 powiatach, które leżą w promieniu dokoła miast głównych, Krakowa i Lwowa. Spożywanie wódki zmniejszyło się znacznie, ale na korzyść innych trunków. Piwo ma odbyt w 62 powiatach, tj. niemal w całym kraju. Miód i wódki słodkie znane są zwłaszcza w Galicyi wschodniej, wina zaś w dwudziestu kilku miejscowościach.“ Prof. Kleczyński zaznacza fakt, że „włościanie podczas pobytu w mieście zaczynają nawet używać wody sodowej“ i wylicza powiaty, gdzie ów objaw cywilizacyi zdołał się utrwalić... Wkrótce po notatce powyższej ukazało się w Galicyi dziełko posła Szczepanowskiego. Twierdzenia, zawarte w tej pracy, wywołały w swoim czasie wiele gwałtownych odpowiedzi, przyjęte były niemal jako oszczerstwo na kraj rzucone. Jak wiadomo, p. Szczepanowski w r. 1888 przytoczył szereg smutnych cyfr, z których wynikała ta prawda, że przeciętna ilość produktów spożywczych, przypadająca na osobę w Galicyi, jest o wiele niższa, niż w innych krajach. Weźmy przykład: roczne spożycie w kilogramach wynosi:

	Zboża	Kartofli	Mięsa
w Anglii	217	160	50
w Niemczech	200	300	33
we Francyi	284	255	34
w Belgii	235	310	35
w Węgrzech	182	100	24
w Galicyi	*114*	*310*	*10*

Twierdził więc p. Szczepanowski, że chłop galicyjski spożywa zaledwie *połowę* tego, co robotnik zachodnio-europejski, ale też i wytwarza cztery razy mniej w stosunku do produkcyi tamtego *). Twierdził dalej, że znaczna część ludności roboczej w Galicyi ciągle się głodzi, czyli że poprostu około 50,000 ludzi rocznie umiera na choroby głodowe...

Z zestawienia szczegółów tych tak bardzo sprzecznych sprawozdań 1877 i 1888 r. czytelnik widzi, że sprawa żywienia się ludności wiejskiej w Galicyi bynajmniej nie została przez nie rozstrzygniętą.

Tymczasem, pominąwszy już doniosłość tej kwestyi dla socyologii, rzecz ma przedewszystkiem niezmierne znaczenie praktyczne. Takie lub inne zachowywanie się społeczeństwa i sfer rządzących, bądź co bądź, pomimo względów partyjnych, *musi* być oparte na znajomości rzeczywistych stosunków. Przypuśćmy nawet, że sfery te posiadają o niem zdanie aż nadto wyrobione — pozostaje jednak szeroki ogół wyborców, prasa i inteligencya. Ażeby zdać sobie dokładnie sprawę z doniosłości zagadnienia, zajrzyjmy jeszcze do statystyki. Według spisu z r. 1890, ludność Galicyi wynosi 6,607,816 osób — w roku zaś 1880 wynosiła 5,958,907 — czyli że przyrost jej dziesięcioletni stanowi 1,09% rocznie. Skutkiem tego gęstość zaludnienia wzmaga się bardzo szybko. Jeszcze bardziej uderza okoliczność, że ten stopień wysoki gęstości zaludnienia przypada w Galicyi *głównie na ludność rolniczą.* Na jednym kilometrze kwadratowym mieszka jej:

w Królestwie Pol.	38	osób
w Czechach	44	„
w Węgrzech	33	„
we Francyi	31	„
w Anglii	27	„
w Niemczech	37	„
we Włoszech	57	„
w Galicyi	*63*	*osoby!*

Zatem w Europie jedynie Włochy, gdzie 4 miliony hektarów są pod uprawą ogrodniczą, winną i oliwną, zbliżają się (choć się nie równają) gęstością zaludnienia rolniczego do Galicyi — kraju o tak nizkiej jeszcze technice. Ażeby zaś dobitniej zrozumieć znaczenie tych cyfr, dodać tylko należy odpowiedni współczynnik. Otóż według spisu 1880 r., ludności rolniczej w Galicyi było 4,419,636 osób, czyli 74,17% ogółu; tymczasem w dziesięć lat później, tj. w roku 1890 stosunek ten *wzrósł aż do 77,87%* *).

Teraz chodzi o to, czy słuszność jest po stronie optymizmu p. Kleczyńskiego, czy też rzekomego pesymizmu posła Szczepanowskiego? Oczywiście, że ani jeden, ani drugi nie zadawalają wcale słusznych wymagań naukowości w zbadaniu sprawy. Zbyteczne zaś chyba dowodzić, że właśnie kwestya żywienia się jest probierzem najlepszym kulturalnego i ekonomicznego położenia społeczeństwa. Z nią bowiem w bezpośrednim związku zostaje taka lub inna śmiertelność, ten lub ów procent zdolnych do ponoszenia ciężarów służby publicznej i wreszcie tak doniosła dla narodowości kwestya rozpłodowej siły gatunku.

Z góry powinniśmy czuć wielką wdzięczność dla tych, którzy przysparzają światła tej ciemnej sprawie. Świeżo właśnie wyszła z druku praca profesora Napoleona Cybulskiego p. t. „Próba badań nad żywieniem się ludności wiejskiej w Galicyi.“ Głos człowieka, stojącego po za rozgwarem jednostronności, będzie nam służył za nić przewodnią. Jakkolwiek prof. Cybulski pracę swą nazywa tylko „próbą“ badań i chociaż stanowi ona istotnie wstęp tylko do pracy żmudnej i obszernej, którą społeczeństwo przeprowadzić winno — to jednak jest *pierwszą* całkiem wiarogodną przesłanką, na której już jakieś wnioski oprzeć można.

J. G.

ZABEZPIECZENIE BYTU.

Chwila obecna jest powrotną falą projektów i zabiegów w sprawie zabezpieczenia bytu wszelkich pracowników. Fala ta przepłynęła przez nasze mózgi i dobre chęci już niezliczone razy, ale siła jej uderzeń w opinię publiczną ciągle się wzmaga pod działaniem wzrastających potrzeb i warunków życiowych. Przez całą zimę i wiosnę ubiegłą w sekcyi rolnej przysłuchiwaliśmy się rozprawom ziemian nad utrwaleniem podstaw przyszłości pracowników wiejskich. Wypowiadano tam różne najsprzeczniejsze zdania i pomysły, byli nawet tacy, którzy ogół oficyalistów rolnych nazwali mianem „większych lub mniejszych Mielczarków,“ że zatem nad dolą takich zbójów niema co radzić; „nielicznej zaś garstki uczciwych,“ raczej „wiernych“ i bez tego czekają różne „gracye.“ Słowem, przedmiot był wszechstronnie roztrząsany, z pominięciem wszakże jednego czynnika: owych warunków, które tę warstwę ludzi wykształca „na mniejszych lub większych Mielczarków.“ Ale ponieważ czynnik ten leży na zbyt bliskiej odległości od wzroku samych „chlebodawców,“ więc go, zgodnie z prawami fizycznemi, dojrzeć nie mogą.

Ostatecznie projekt opracowano w następujących głównych zarysach: *A.* Ubezpieczenia życiowe: 1) Każdy pracownik rolny w wieku od 17 do 55 lat może ubezpieczyć dla siebie kapitał w sumie od 100 do 5,000 rs., płatnych do rąk ubezpieczonego, gdy ten ukończy 65 lat życia, albo do rąk jego spadkobierców lub osoby w polisie wymienionej, natychmiast po śmierci ubezpieczonego, jeżeli ten umrze przed ukończeniem 65 lat, bez względu na ilość wniesionych opłat. 2) Stała opłata roczna za każde ubezpieczenie 100 rs. wynosi dla przystępującego w wieku lat 20— rs. 1 kop. 99, 30-tu — 2 rs. 72 k., 35-ciu — rs. 3 k. 30, 40-tu—rs. 4, 50-ciu—rs. 7 k. 40. 3) O ile sam zarobkodawca bez pośrednictwa agentów zawiera umowę z Towarzystwem, o tyle otrzymuje ulgę na pierwsze dwa lata, w równych częściach rozłożoną, w stosunku 2% od kapitałów ubezpieczonych w wysokości 100—500 rs. na osobę. W stosunku 1% od kapitałów ubezpieczonych wyżej nad 500 rs. na osobę. Nadto, począwszy od 2-ej raty rocznej, zarobkodawcy otrzymują jeszcze po 2% ustępstwa od wnoszonych premii. 4) Po upływie 3-ch lat ubezpieczenia Towarzystwo asekuracyjne w razie zerwania umowy przez ubezpieczyciela, obowiązuje się zwrócić pewną część wniesionych opłat podług tablicy, dołączonej do polisy (tytułem wykupu tej ostatniej). Gdyby więc po roku pracownik zmienił służbę, dawny zarobkodawca może wycofać pewną z góry ściśle oznaczoną część opłat, wniesionych za oficyalistę. *B.* Ubezpieczenie od nieszczęśliwych wypadków. 5) Każdy pracownik, bez względu na wiek za dopłatą 55 kop. rocznie od 100 rs. może pozyskać odpowiednią rentę roczną, płatną do śmierci, jeżeli skutkiem nieszczęśliwego wypadku stanie się niezdolnym do pracy. Ubezpieczenie może być zawierane pojedynczo imienne lub grupami bezimiennie. 6) Z osiągniętych zysków idzie 70% na dywidendę dla ubezpieczonych, skutkiem czego pierwotnie oznaczone opłaty z czasem zmniejszyć się mogą. O ile nas pamięć nie zawodzi, projektodawcy porozumieli się w tej sprawie z „Przezornością“ (oddziałem warszawskiego Towarzystwa ubezpieczeń od ognia.

Projekt piękny, ale rola w nim zarobkodawców będzie taka, jak np. tego, ktoby doradził oficyalistom uczestniczenie w kasach oszczędności. Inicyatorom wszakże należy się uznanie za ich dobre chęci, za ułożenie przepisów i szerzenie ich śród ziemian, po to, iżby ci wzięli na siebie obowiązek pośrednictwa pomiędzy oficyalistami a instytucyą ubezpieczającą. I to coś warte, bo przecież są masy ciemnych pracowników, którzy o takiem utrwaleniu gruntu pod swemi nogami nie tylko pojęcia nie mają, lecz nawet stanowczo nie uwierzą w jego skuteczność. To właśnie będzie najważniejszą przeszkodą w praktyce. Po za tem prawdopodobnie ujawnią się braki z niestałości i niepewności służby. Słowem taka forma ubezpieczeń, która w innych odłamach pracy łatwo się szerzy, do przekonania oficyalistów rolnych będzie wsiąkać opornie. Największe ona ma powodzenie w wielkich przedsiębiorstwach przemysłowo-fabrycznych. Niedawno astrachańska firma naftowa „Zacharów i Skrepinskij“ wszystkich swoich pra-

*) Oto, jak wygląda wydajność pracy rolniczej na osobę, przedstawiona dla wyżej wymienionych krajów w cent. metr. zboża: w Anglii 22, w Niemczech 16, we Francyi 16, w Belgii 22, w Węgrzech 9,3, w Królestwie 9,1, w Galicyi 6,8.

*) *Rocznik statystyki Galicyi*, p. T. Rutkowskiego, str. 2, tabl. 4.

cowników ubezpieczyła na warunkach następujących: po śmierci robotnika rodzina jego otrzymuje sumę w stosunku zarobku dziennego, pomnożonego przez 1500. Jeżeli skutkiem kalectwa stanie się on niezdatnym do pracy, otrzyma sumę w stosunku płacy dziennej, pomnożonej przez 2,000; w razie chwilowego stracenia zdolności do pracy, robotnik otrzymuje przez cały czas swojej choroby połowę zarobku dziennego. Warunki są jasne i przewidują dwojakie kalectwo, czego nie ma w projekcie dla naszych oficyalistów. Szkoda tylko, że w tego rodzaju ubezpieczeniach wogóle choroba, odbierająca możność pracy, nie jest uwzględniana.

O pracownikach rolnych myślano od dawien dawna, stworzono nietylko wiele godnych uwagi pomysłów, ale nawet poniekąd w praktykę wcielono. Szerszy projekt Karola Libelta — urządzenia gospodarstwa wiejskiego na zasadach spółki akcyjnej, z przypuszczeniem do udziału w niej wszystkich pracujących stale w gospodarstwie, nie przyszedł do skutku z powodu śmierci autora. R. 1879 w dobrach Sieniawa powstała Kasa Zaopatrzenia na takich zysadach: Z jednej strony właściciel wnosi corocznie 10% wypłaconych oficyalistom i sługom pensyi i „zasług," z drugiej — oficyaliści i słudzy wnoszą corocznie tylcż ze swej płacy. Procent, złożony przez właściciela, staje się własnością kasy a pracownikowi służy doń prawo tylko „tytułem wysługi," procent oficyalisty pozostaje własnością jego, nawet w razie wydalenia ze służby *). Ustawa tej instytucyi jest nieco zbliżona do kasy zaopatrzenia Towarzystwa ubezpieczeń w Paryżu (*Compagnie des assurances générales maritimes*, *contre l'incendie*, *contre la grêle et sur la vie des hommes*), której zasady przyjęło następnie z powodzeniem dużo przedsiębiorstw.

O wprowadzenie emerytury dla oficyalistów rolnych gorące niegdyś czynił zabiegi Józef Jakubowicz i szczegółową ustawę swego projektu opracował. Zdaje się nie znalazł on jednak silnego oddźwięku w życiu. Autor miał no myśli Towarzystwo, w którego skład weszliby dobrowolnie: właściciele dóbr ziemskich, dzierżawcy, ekonomowie, leśniczowie, gorzelnicy, piwowarzy, ogrodnicy, pisarze, dozorcy, kowale i stelmachy, jako rzemieślnicy. Stowarzyszenie miało posiadać dwa fundusze: wysługi i wsparcia. Utworzenie pierwszego polega na złożeniu kapitału doraźnego przez fundatora, „któryby po latach 40-tu odsetkami swemi zaopatrywał wysłużonego oficyalistę, tak długo, jak tenże jeszcze żyć będzie, a to w myśl fundatora, który wysokość stypendyum wysługi pewnego ciała tabularnego sam raz na zawsze wyznaczy." Fundusz wsparcia powstaje z opłat pięcioprocentowych ze strony oficyalistów, podczas gdy właściciele ciał tabularnych wyłącznie stają się twórcami instytucyi wysługi. Według obliczeń autora, Towarzystwo po latach 40-tu mogłoby stać i działać o własnych siłach; już zaś po pięciu latach istnienia, oficyaliści, ich wdowy i sieroty otrzymają pewne wsparcie, którego fundusz co rok wzmagać się będzie. „Prócz tego, otworzy się dla wszystkich stowarzyszonych a nawet dla całego rolnictwa kredyt, przez utworzenie z wszystkich wkładek łącznie rolniczego instytutu kredytowego, w celu ich sprocentowania i zwiększenia." Kasa pożycza na fanty w papierach tudzież w ziemiopłodach, na wódkę, wełnę, inwentarz opasowy itd. Pożyczka 8-procentowa sześciomiesięczna **).

Widzimy zatem, że w ciągu przeszło lat trzydziestu sprawa ubezpieczenia bytu pracowników wiejskich była dość szeroko i rozmaicie traktowana, że pomysły teoretyczne nawet w życie wcielano. Nasi rajcowie jednak, opracowując obecnie nowe projekty, nie rozejrzeli się dostatecznie w tym materyale z przeszłości; a szkoda, bo możeby cośkolwiek z niego dało się zaczerpnąć.

Ale oto w okresie rozmyślań i zabiegów około zabezpieczenia losu pojedyńczych grup pracowników naraz ukazał się całkiem nowy projekt oryginalny i samodzielny w pewnych swych szczegółach, a zasługujący tem bardziej na uwagę, że obejmuje wogóle całe masy warstw pracujących i że twórcą jego jest wielki przemysłowiec, p. Ludwik Szwede. Podstawą projektu jest zabezpieczenie starości za pomocą ogólnej kasy wsparć emerytalnych dla wszystkich pracujących, bez najmniejszego wszakże ich w tem udziału. Każdy zarobkodawca ma uiszczać osobno *podatek wsparć* od każdej zatrudnionej u niego osoby. Wysokość tego podatku musi być trojaka: 1) Od osób, które stałe mają zajęcia, tj. kwartalne i dłuższe, np. w stosunku 1 kopiejki dziennie od osoby, tj. po 3 ruble rocznie, licząc 300 dni roboczych na rok. 2) Od osoby, którą używanoby kilka dni tylko lub parę tygodni — 2 kop. dziennie. 3) Wreszcie od pracownika, któryby byłby zajęty jeden dzień lub kilka godzin tylko — po 3 kop. „Jeżeli pracownik ulegnie chorobie lub opuści zatrudnienie z innej jakiej przyczyny, a tem samem podatek wsparć uiszczany nie będzie, to po powrocie do pracy brakującą sumę uregulować jest obowiązany." Pobór drobnych kwot byłby wielce trudny i kosztowny, nadto pochłaniałby znaczną część składki. Aby tego uniknąć, należy stworzyć „książeczki pracy" dla wszystkich, jak obecnie dla robotników. Zarobkodawcy, korzystający z trudu wszelkich pracowników (mężczyzn i kobiet), przy regulowaniu rachunków powinni wlepiać w tych książeczkach osobne „marki wsparć" (codziennie, tygodniowo, miesięcznie, kwartalnie, stosownie do warunków). Fundusze wsparć powstają: 1) z zakupu marek, 2) z ofiar jednorazowych, 3) z zapisów i darowizn, 4) z procentów od kapitału, 5) z kar za niewnoszenie podatku. Każdy pracownik ma prawo do wsparcia emerytalnego, bez różnicy płci, narodowości, wyznania. Warunki otrzymania zapomogi: wiek lat 60, pracy lat 40, potwierdzonych świadectwami w książeczkach, oraz książką wsparć, w której mieści się 120 rs. markami poprzecinanemi. Wykluczeni są tylko karani kryminalnie za kradzież lub inne zbrodnie, co jednak nie zwalnia chlebodawców — w razie powrotu do pracy — od wnoszenia za nich podatku wsparć. Książeczka musi być poparta świadectwami pracy i kontrolą biura. To ostatnie powinno być prowadzone bezinteresownie przez osoby, wybrane z grona opodatkowanych. Reszta personelu do podrzędniejszych robót dałaby się tanio uzupełnić, gdyż czynności te nie wymagałyby ludzi z wyższem wykształceniem. Sumy, otrzymane za książeczki, powinny pokrywać nietylko ich koszt, lecz i dawać przewyżkę, którąby zasilała fundusze kontroli wsparć.

Strona finansowa tej instytucyi tak się przedstawia: Biorąc za normę kopiejkę (w Warszawie) dziennie, tj. 3 rs. rocznie i licząc 100,000 osób, korzystających z podatku, otrzymamy dochodu 1,000 rs. dziennie. Podatek wsparć przynosiłby zatem 300,000 rs. rocznie. Suma ta po latach 40 stworzyłaby kapitał 12 milionów rs. Procent (4%) powinien być podzielony na dwie równe części, z tych jedna w pierwszem pięcioleciu służyłaby na niezbędne koszty założenia i regulowania biura kontroli wsparć, druga — przechodziłaby na zasilenie funduszów wsparć. Tym sposobem kapitał wynosiłby przypuszczalnie 1,261,212 rs., procent zaś od niego 31,224. Z tych odsetek po pięciu latach połowa powinna być użyta na wsparcia najpilniejsze. Po tyluż latach fundusz 1,261,212 uważa się za kapitał żelazny, zasilany corocznym podatkiem wsparć, tj. 300,000 rs. i 2%. Taką drogą otrzymamy rachunek następujący: po 10 latach kapitał żelazny wyniesie 2,984,936, procent do użytku 65,698; po 20 latach — kapitał 6,989,210, proc. 145,784; po 30 — kapitał 11,337,675, proc. 243,408; po 40 kapitał żelazny uczyni 17,820,594 rs. i przestaje być zasilany, czyli powiększany kosztem podatku wsparć, fundusz zaś coroczny 300,000 rs. przechodzi do rozporządzenia. Od tej chwili kasa może już w pełni działać, mając oprócz tych 300 tys. jeszcze procent około 4% (700,000), razem milion rubli rocznie dla wsparć emerytalnych. Skalę tych ostatnich trudno na razie określić. Jeżeliby np. ze 100,000 ludzi doszło 5,000 do lat 60, to wypadłoby rocznie po 200 rs. na osobę. Fundusz żelazny może być nadto powiększany przez darowizny lub zapisy. „Jeżeliby kiedyś przyszedł do skutku ten projekt — mówi p. Szwede — czyby posiadacze wszelkich zakładów, fabryk itd., gdzie robotnicy narażeni są na kalectwo lub śmierć — nie zechcieli im lub ich rodzinom przychodzić z pomocą?" Składka dzienna 1—1½ kop. za każdego pracownika byłaby dostateczną; dla uniknięcia zaś kosztów, oba rodzaje wsparcia mogłyby działać razem.

Nie wnikając w drobiazgowy rozbiór całego projektu, w szczegóły jego słabych i mocnych stron, zaznaczyć musimy, że posiada on trzy znamienne cechy: pociąga tylko samych zarobkodawców do obowiązku zabezpieczenia starości warstw pracujących, ogarnia wszystkie rzesze w różnorodnych dziedzinach pracy, bez różnicy płci, narodowości lub wyznania, wreszcie obejmuje nietylko ludzi umówionych tygodniowo, miesięcznie, rocznie, lecz i podziennie. Pomysł ten, w razie urzeczywistnienia, nie wywoła nadzwyczajnych zasadniczych zmian w warunkach bytu, ale, bądź co bądź, przyniesie ulgę warstwom pracującym i nieco im życie rozjaśni — a to już wiele. Kto chce ujrzeć gmach całkowity, niechaj, bez względu na długość okresu jego wykonania, cieszy się z każdej cegiełki, z każdego bierwiona lub deski, dostarczonych do tymczasowego rusztowania. Widzimy zwrot godny uwagi: sami przedsiębiorcy ujawniają coraz częściej żywe zainteresowanie się bytem swych pracowników; zaglądać do pobudek lub rozpatrywać ich drgnień subtelnych, nie potrzeba; same fakty wystarczają. Każda postać utrwalenia podstaw pracowników z różnych dziedzin, czy to będzie kasa emerytalna, czy zorganizowane ubezpieczenie życia, powinna znaleźć jaknajszersze i najżarliwsze poparcie ogółu.

Drogomir.

*) K. Waliszewski. O kasach zaopatrzenia dla urzędników, oficyalistów i sług. Warszawa 1876.

**) Józef Jakubowicz. „Rzecz o emeryturze oficyalistów prywatnych." Lwów 1862.

PAMIĘTNIK.

Kapitały nieprocentujące.

Lud, wogóle biedny, ma śród siebie dusigroszów, ciułaczów, którzy całe życie znoszą niewygody i męczarnie, po to, ażeby uzbierać trochę pieniędzy dla zabezpieczenia własnej starości albo bytu dzieci. Trwa to przez lat dziesiątki, chłop przykłada kopiejkę do kopiejki, wymienia je na ruble i chowa — do kasy oszczędności, do banku? — Nie! Do butelki albo do garnka. W ten sposób pod strzechami w stodołach pod klepiskiem w ziemi, pod drzewami w ogrodzie kryją się setki tysięcy rubli, krwawo, mozolnie zebrane, nie przynoszące najmniejszego zysku posiadaczom, ani pomocy ludziom przedsiębiorczym. Cza-

sem wyśledzi je złodziej, czasem butwieją one lub służą za karm dla myszy. Najwięcej atoli tych sum przepada bezpowrotnie z chwilą wymiany biletów kredytowych starego stempla na nowe. Do chłopa ciemnego nie dochodzą wieści i ostrzeżenia, przez długi czas ogłaszane. To samo powtórzyło się i obecnie. Po kilkakrotnem obwieszczeniu terminu ostatecznego, stare bilety kredytowe straciły swą wartość, o czem przypadkowo zaczynają się dowiadywać ich posiadacze siermiężni; niedawno jeszcze względnie dostatni, stoją na progu nędzy. Wobec tego prasa ruska bierze ich w opiekę; między innemi *Nowoje Wremia* pisze: „W ogłoszeniach ministeryum skarbu oznaczono jeden ogólny termin dla wymiany, gdy należało wyznaczyć dwa. Pierwszy, po którego upływie obieg tych biletów, jako znaku pieniężnego, ustaje; drugi, późniejszy, po za którego granicami pieniądz w tej formie również krążyć nie powinien, ale wymianę jego na nowe bilety należy urządzić w sposób normalny. Oczywiście ministeryum skarbu nie może się zachowywać obojętnie względem strat, poniesionych przez ludność nieświadomą rzeczy.“ Pismo radzi stanowczo wyznaczyć jeszcze dodatkowy termin wymiany, przy czem kładzie nacisk na braki w dzisiejszym sposobie ogłaszania praw obowiązujących. Należy więc, zdaniem powyższej gazety, uciec się w tej mierze do pośrednictwa cerkwi, kościołów i urzędów najniższych, mających do czynienia z ludnością najciemniejszą. Niedawno rozbiegła się pogłoska, że jakoby w guberniach syberyjskich termin wymiany przedłużono do r. 1895 i oto lud zaczął tam posyłać do banków swoje sumy lecz się naraził na nowy zawód; tamtejsze instytucye kredytowe nic o tem nie wiedzą i na koszt właścicieli zwracają im pieniądze. Projekt pomocy osób i organów, mających do czynienia z ludnością nieoświeconą, jest bardzo dobry; należałoby wszakże nie poprzestawać na zawiadamianiu o terminach wymiany biletów starych, lecz nadto — szczerze doradzać włościanom-ciułaczom, ażeby swoje fundusze umieszczali w kasach. Tym sposobem uruchomione kapitały przyniosłyby pożytek ich właścicielom tudzież różnym przedsiębiorstwom krajowym, potrzebującym kredytu taniego i łatwego.

Siła tradycyi.

Na kongresie pedagogicznym we Lwowie poruszono sprawę przypuszczenia kobiet do uniwersytetów, gorąco zaś przemawiała w tym przedmiocie p. Bujwidowa tudzież wogóle pracownice z niwy nauczycielskiej i kandydatki do wiedzy wyższej. Pierwsza położyła nacisk na potrzebę przypuszczenia kobiet do wszechnic krajowych w charakterze studentek, gdyż podróże do Szwajcaryi i Francyi, połączone są z wielu trudnościami, przez które tylko nieliczna garstka może przebrnąć. Uniwersytety krajowe nie chcą wszakże słyszeć o tem lub usypują od „natrętnych“ szańce w postaci warunków niemożliwych do spełnienia. Walczące o swoje prawa spotkały się z żywiołem wrogim, zakamieniałym przesądem „opiekunów.“ Między innymi jeden nauczyciel szkół ludowych protekcyjnie pozwolił im uczęszczać do szkół handlowych i przemysłowych; „z uniwersytetami zaś niech sobie dadzą pokój!“ Po tym wyroku stanowczym wystąpił jeszcze inny pogromca „zuchwałych białogłów,“ profesor uniwersytetu miejscowego, dr. Mańkowski. Z wysoką pobłażliwością dla niewiast, jako „płci słabej,“ przyznał im to, „co się należy,“ ale zarazem dał przestrogę, ażeby „nie zapominały o ognisku domowem i grożącem mu niebezpieczeństwie“ w razie przyjęcia wniosku; radził pamiętać o zdrowiu, szczególnie matek, na które praca umysłowa działa rujnująco. Podobno ten pan otrzymał słuszną odprawę. Szkoda tylko, że nikt się nie odważył odsłonić pobudek owych obrońców „ogniska domowego“ i stróżów zdrowia jego „kapłanek“, że nie wskazał tych, którzy lubią się ogrzewać przy cudzych „ogniskach“, w ukryciu pomnażać liczbę „obywateli kraju“ i zostawiać ich matkom, nie mającym ani gniazda własnego, ani środków materyalnych. Niechby ci mówcy, występujący w imieniu dobra niewiast i w obronie ich kapłaństwa, zechcieli zajrzeć do własnego sumienia, możeby ono, rozbudzone rachunkiem, ochłodziło nieco ich żarliwość w strzeżeniu tradycyi.

Szał graczów.

W porze posuchy na „kwestye palące“ pierwsza klasa loteryi dostarczyła dziennikom naszym obfitego materyału do licznych i dużych artykułów wywołała mnóstwo projektów, do których wogóle zastosować można przysłowie o Pacu i pałacu. Najświeższa praktyka — sprzedaż losów wobec urzędnika bankowego, dowiodła, już nie wiem po raz który, że spekulacyi żadne środki nie stłumią. Opowiadano nam o aferzystach, którzy kilkakrotnie w ciągu godziny kupowali za każdym razem po dwa, trzy losy (najwyższa norma, prawem przepisana) u jednej kolektorki; żeby zaś ich nie poznano, charakteryzowali się odpowiednio a w księdze zapisywali za każdym razem inne nazwisko. Stali gracze znaleźli się w kłopocie, bo według nowego rozporządzenia, chcąc zdobyć los lub jego ćwiartkę, musieliby przyjeżdżać na oznaczoną godzinę z letnich mieszkań lub z zagranicy; jeżeli kto miał biurowe zajęcie, chorobę w domu, pogrzeb ślub, a nie chciał gry przerwać, musiał wszystko porzucić lub odłożyć, co rychło dążyć do kolektorki i przebojem torować sobie drogę przez tłum rozgorączkowany. Pomysłowość atoli uratowała ich z przykrego położenia; kolektorki pozbierały znajomych, posiadających trochę czasu na parę godzin przed przyjściem urzędnika i odegrały komedyę sprzedaży. Losy, acz z trudem, przeszły w części do dawnych graczów, gdzie zaś kwitnęła spekulacya, tam owego kwiatka nie zdołała uszczknąć nawet nowa kontrola. W rezultacie pozostała silniejsza gorączka tłumów i wyższy niżeli dotąd kurs „papierów“ loteryjnych. Widzimy zatem, iż choroba ta utkwiła tak głęboko, że jej żadne środki nie wyplenią. Siłę zaś osłabią nie pomysły, wprowadzane przez urząd i podawane w dziennikach, lecz wykonanie następującego projektu ministeryum skarbu: Zamierza ono uprzystępnić niezamożnej ludności sprzedaż papierów premiowych na raty we wszystkich oddziałach i kantorach Banku państwa, w kasach oszczędnościowych i wogóle we wszelkich instytucyach dla kredytu drobnego. Pierwsza rata wynosić ma rs. 5, od reszty nieopłaconej pobierany będzie 4% rocznie. Taka postać gry ma tę wyższość nad loteryą, że jest w pewnej mierze formą oszczędności, złożonej w papierach premiowych.

Vox populi.

Psychologia ciemnego tłumu przedstawia nieraz prawdziwą zagadkę. Najdziwaczniejsze i najmniej prawdopodobne pojęcia i wieści znajdują tu urodzajną glebę i krzewią się bujnie z nieuchwytnych pyłków. Ale mieszczą one w sobie głęboko ukryty sens, którego ujawnienie może być korzystne.

Chwile niebezpieczeństwa, pobudzając działalność wyobraźni, najwięcej sprzyjają szerzeniu się wszelkich bajek. Przed laty kilkudziesięciu, gdy epidemia dziesiątkowała ludność Kijowa, czerń zamierzała wyrznąć studentów-medyków, gdyż posądziła ich o zatruwanie studzien. Podobna nieufność zaznaczyła się obecnie i u nas: tłum posądza lekarzy, że dla zniszczenia epidemii trują chorych. „Kogo leczą, ten umiera na pewno a nieleczeni pozostają przy życiu.“ Bajka ta rozbiegła się tak dalece, że dość zapytać przeciętnego dorożkarza, kucharkę lub chłopa, aby ją potwierdził, jako prawdę, z największą wiarą. Pogląd taki na działalność lekarzy zdarzało mi się słyszeć nawet z ust ludzi trochę oświeconych, którzy z pewnością czytają pisma codzienne, a nawet od policyantów.

— Co to za karetka? — pyta stójkowego przechodzeń.

— A toż wiozą człowieka, aby go zamęczyć.

— Jak to?

— To pan nie wiesz, że cholerycznych trują — odpowiada ze zdziwieniem zagadnięty.

Następstwem tego były już przejawy uporu przy zabieraniu chorych do szpitala.

Słysząc powyższe twierdzenie, zadawałem sobie pytanie, jaki wiatr zasiewa te chwasty? W roku przeszłym starał się przekonać mię w tym duchu pewien ogrodnik z małego miasteczka, gdzie przed dwoma laty panowała epidemia. Pomijam brednie, np. o chorym głuchoniemym, który nie wziął danego mu lekarstwa i pozostał przy życiu, podczas gdy inni pomarli, o czem zaraz opowiedział (choć był głuchoniemy i niepiśmienny). Zastanowił mię jeden szczegół: Oto podobno lekarz zapisał choremu na cholerę lekarstwo, poczem przyszedł felczer i obejrzawszy receptę, ostrzegł, że po zażyciu wskazanego w niej środka pacyent natychmiast umrze. Chory więc nie zażywał go i wkrótce umarł. Z tego wyciągnąć można wniosek, że wobec panującej na prowincyi nienawiści między lekarzami i felczerami, ostatni korzystają z bajek i wyzyskują je na swoją korzyść i szkodę współzawodników. W każdym jednak razie trudno przypuścić, aby alarm miał tę jedynie przyczynę. Musiał tu istnieć wytworzony przez warunki pewien nastrój tłumu, wobec czego każda wiadomość przybierała zaraz odpowiednie kształty i potwierdzała przypuszczenia. Być może, przyczyniło się do tego ostre i bezwzględne postępowanie z cholerycznymi, może za mało starano się zaznajomić warstwy uboższej ludności z charakterem epidemii i środkami walki, ale bądź co bądź, główna część winy spada na lekarzy, którzy nie zdołali pozyskać zaufania mas. Trzeba widzieć tę falę ubóstwa, przepływającą przez kancelarye szpitalne i przedpokoje lekarzów, jak pobieżnie i bez ceremonii z nią się załatwiają, ażeby zrozumieć, co mogą myśleć te szare rzesze o leczących je „uczonych.“ Przeciętny lekarz nie objaśni dokładnie i przystępnie ubogiemu warunków choroby i kuracyi, lecz daje mu tylko rozkazy z wysokości swego majestatu. Że od zachowania się lekarza zależy mniejsza lub większa ufność tłumu, dowodzą przykłady z prowincyi, gdzie u jednego chłopi nie chcieli się leczyć wcale, a do jego następcy podążają tłumnie. Nieliczne przykłady humanizmu względem ubogich nie mogą naprawić błędów goniącego za zyskiem ogółu i oto teraz, w chwili niebezpieczeństwa, ten tłum ciemny, dręczony nędzą i zagrożony epidemią, widzi w lekarzach nie obrońców swoich, lecz wrogów. *P. K.*

Wakacye dla szwaczek.

Jeszcze na wiosnę delegacya kobiet przy jednej z instytucyi tutejszych przedsięwzięła starania o ułatwienie szwaczkom wypoczynku letniego na wsi. Cała organizacya miała polegać na tem, że inicyatorki wyraziły gotowość pośrednictwa, tj. zachęcania obywatelek wiejskich do przyjęcia na parę tygodni biednych i znużonych pracownic. Oczywiście warunkiem dla tych ostatnich powinno być świadectwo moralności i rekomendacye osób wiarogodnych. Zachęcanie wieśniaczek do tych czynów miłosiernych odbiło się lekkiem echem we wzmiankach dziennikarskich; ale ponieważ było to

w chwili pieszej podróży do Antwerpii i jarmarku na wełnę, wkrótce zaś potem zaszła śmierć Carnota, więc bujne chwasty wiadomości sensacyjnych stłumiły to ziarnko podczas kiełkowania. Potem prawdopodobnie przedstawicielki delegacyi kobiecej wyjechały na letni wypoczynek więc i nić pośrednictwa przerwała się zupełnie. Może się mylimy, może chociaż jedna szwaczka otrzymała trochę spokoju i powietrza wiejskiego; jeżeli tak, to niech dobre inicyatorki dadzą znak życia, niech ujawnią rezultaty swych zabiegów.

Wynalazek.

P. Maksymilian Walicki, pomocnik zawiadowcy stacyi w Koluszkach, wynalazł przyrząd, ochraniający robotników przy łączeniu wagonów i ułatwiający tę czynność. Dokonane już próby podobno wykazały jego wyborne działanie, nawet przy silnem wstrząśnieniu. Jedno poruszenie drążka żelaznego, którego rękojeść znajduje się z boku, wystarcza dla rozłączenia wagonów w ruchu. Przyrząd ma działać doskonale zarówno na linii prostej jak i na skrętach. Jeżeli istotnie wynalazek ten jest tak dobry, to zastosowanie jego w praktyce będzie miało doniosłe znaczenie. Przypomnijmy sobie, ile już było zgnieceń śmiertelnych, wynikłych przy owem łączeniu i znajdźmy chociaż jedną kolej, któraby w kronice wypadków nie zanotowała co najmniej paru z powyższej kategoryi. P. Walicki nie rozporządza odpowiednim funduszem, który pozwoliłby mu opatentować wynalazek i wykonać go całkowicie do użytku praktycznego. Jeżeli zarząd drogi żelaznej umie ocenić własny interes i związane z nim bezpieczeństwo publiczne, powinien poprzeć nowe udoskonalenie i nie zwlekać z wprowadzeniem go w życie. Przedsiębiorstwa komunikacyjne nie są atoli skwapliwe w tym względzie. Dzienniki nasze nieraz podawały wzmianki o różnych ulepszeniach mających na celu ochronę życia i mienia ludzkiego. O ile nas pamięć nie zawodzi, proponowano już dość dawno jakieś pochłaniacze iskier, które nie rozpowszechniły się w praktyce. Słyszeliśmy także o przyrządach zwierciadlanych, pozwalających maszyniście nie patrząc po za siebie, widzieć jednocześnie, co się dzieje przed nim i po za jego plecami. Szkoda, że reporterya nasza, tak gorliwie obwieszczająca światu każdy przyjazd i wyjazd dygnitarzy kolejowych, poprzestaje na jednorazowej ulotnej wzmiance o tego rodzaju ulepszeniach i nie zaciekawia się więcej ich losem. A przecież ogół interesowany radby coś o nich wiedzieć. Zresztą częstsza kontrola postronna możeby dla przedsiębiorstw komunikacyjnych była bodźcem moralnym do zadość uczynienia ważnej potrzebie.

W DALI.

Stosunki ze światem. Mieszkańcy zapadłych kątów prowincyonalnych, gdzie ani kolej żelazna, ani szosa, ani wogóle droga porządna nie dochodzi, lecz tylko rzeka spławna przebiega, z upragnieniem oczekują dwu pomyślnych pór roku, tj. takich, w których może być albo dobra sanna, albo wysoka woda. Ta druga o wiele przyjemniejsza, bo oszczędza czas, konie i kości. Takie kąty, oderwane od świata, posiada powiśle, tj. pobrzeże najspławniejszej i pierwszorzędnej rzeki w Królestwie Polskiem. Jak atoli wygląda ta arterya wodna i żegluga na niej, pamięta dobrze każdy, komu zdarzyło się jeździć z Warszawy do Sandomierza lub chociaż do Wyszogrodu. Walka z mieliznami, niepunktualność w komunikacyi, niewygody, ciasnota, nieład — to są najcharakterystyczniejsze cechy podróży. Wymownem zaś świadectwem stanu żeglugi parowej na Wiśle był fatalny wypadek rozbicia się statku na schyłku wiosny koło Mniszewa w drodze z Sandomierza do Warszawy. Na największym prądzie i głębinie z całą siłą pary wpadł on na kamienie podwodne. Pasażerowie ledwie zdołali życie ocalić. Jakież były przyczyny tej katastrofy? Oto przedsiębiorcy żeglugi puszczają statki, których nie powinni używać przy nizkim stanie wody i zmieniają ciągle sterników, którzy z tego powodu nie mogą dobrze poznać koryta rzeki. Na Dnieprze i Prypeci zdarzało się nam spotykać sterników wytrawnych, znających całą drogę najdokładniej na przestrzeni setek wiorst, tudzież naturę i kaprysy owych rzek, dzięki długoletniej praktyce. Przedsiębiorcy na Wiśle zdaje się nie przywiązują zbyt wielkiej wagi do tego warunku, na którym przedewszystkiem powinna być oparta komunikacya, chociaż Wisła bardziej, niż inne rzeki, wymaga stałych, doświadczonych i sumiennych sterników.

Pomimo lichej żeglugi, kaprysów rzeki i przedsiębiorców, mieszkańcy innych kątów zaścianka zazdroszczą nadwiślaninowi jego wygód, tudzież cudzoziemcom, którzy umieją niewielkie rzeki uspławnić, uczynić z nich ważne drogi pasażerskie i handlowe. Niechże dla nich chociaż cień prawdopodobieństwa będzie osłodą. Oto śród interesowanych krąży wieść, iż grupa kupców z Iwangrodu i Krasnego Stawu poruszyło projekt żeglugi parowej pomiędzy powyższymi punktami. Zamiar atoli nieprędko zapewne przyjdzie do skutku, bo po zbadaniu warunków projektodawcy ostygli w swym zapale i przyszli do przekonania, że Wieprz, jakkolwiek mógłby być dobrą arteryą, jednak latem posiada w niektórych miejscach takie mielizny i płytką wodę, że najmniej zagłębiające się statki parowe chodzić nie mogą. Ci sami kupcy obliczyli, że ruch towarowy i pasażerski byłby znaczny i opłaciłby się przedsiębiorcom. Czegóż więc oni się boją? Nowości, rzeczy dotychczas niewypróbowanej. Gdyby jakaś siła nadprzyrodzona dopomogła im do oczyszczenia i pogłębienia koryta, staliby się odważnymi i nie wahali rzucić swoich funduszów w przedsiębiorstwo, które dawałoby większe procenty, niż wypożyczanie na hypoteki lub wkładanie kapitału w drobne lecz wypróbowane afery. W innem miejscu na Pilicy, adwokat przysięgły p. B., w r. 1892 puścił sprowadzony z Hamburga statek parowy między Tomaszowem Rawskim a Inowłodzem. Krążył on kilka tygodni z powodzeniem; później jednak, według słów samego właściciela, skutkiem niebywałej suszy i braku wody tudzież nieuregulowania brzegów rzeki, żegluga stała się niemożliwą, przedsiębiorca więc, nie chcąc ażeby jego kapitał przez znaczną część roku leżał uwięziony nieprodukcyjnie a procenty nie były w ścisłej zależności od kaprysów przyrody, sprzedał statek zarządowi warszawskiego okręgu komunikacyjnego. Uregulowanie brzegów rzeki między Inowłodzem a Tomaszowem Rawskim podobno nie wymaga nawet nadzwyczajnych wysiłków i kosztów. Mamy więc dwa fakty znamienne. W pierwszym grupa kupców zamierzyła urządzić na Wieprzu komunikacyę parostatkową i cofnęła się przed ogromem robót wstępnych; w drugim wziął się do rzeczy człowiek pojedynczy i pomimo początkowego powodzenia, zaniechał próby skutkiem niepomyślnych warunków atmosferycznych. Mieszkańcom zapadłych kątów nadrzecznych pozostaje tylko czekać, aż się zmiłuje nad nimi jakie towarzystwo belgijskie, którego nie przestraszą ani koszty, ani trudy.

Powiązania lub wzmocnienia wymagają jeszcze inne nici, łączące zaścianek ze światem: — poczta. Jest ona dla wieśniaka częstokroć tak kapryśna jak pogoda i nieraz może go na gorsze klęski niż grad narazić. Nie chodzi nam tym razem o jakieś gruntowne reformy, lecz tylko o parę szczegółów udogodnienia. Przed dwoma czy trzema laty krzątano się około stworzenia posłańców wiejskich. Ponieważ jednak wymaga to ogólnego porozumienia się i solidarności w składkach, więc piękny projekt pogrążono w zapomnieniu. Ale oto ogłoszono urzędowo nowe przepisy wprowadzające bardzo ważne ułatwienia. Urzędy włościańskie będą miały prawo sprzedaży marek (po cenach zwykłych), przyjmowania i wydawania korespondencyi zwyczajnej i rekomendowanej tudzież posyłek i gazet. O ile praktyka wykaże pomyślny rozwój tych nowych udogodnień, będą one dalej rozszerzane. Nadto w razie potrzeby niektóre szczegóły pośrednictwa w tej mierze będą powierzane osobom wiarogodnym np. duchownym, nauczycielom ludowym i prawdopodobnie zarządom większych majątków tudzież fabryk, gdzie się skupiły rzesze oficyalistów. Instytucye takie i osoby prywatne należałoby zaopatrzyć odrazu w książki do wydawania kwitów na korespondencyę rekomendowaną i posyłki. Wniosek ten jest wyrazem żądań bardzo wielu interesowanych, na poparcie zaś jego podam wymowny przykład: Bawiąc w odległym kącie prowincyi, wysłałem bardzo ważny list rekomendowany i dopiero w kilka tygodni po powrocie do Warszawy, dowiedziałem się, że on nie doszedł, co naraziło mię na znaczne straty. Po sprawdzeniu przyczyny dowiedziałem się, iż było o jedną markę za mało. Pisarz gminny uważał za stosowne czekać aż ozobiście niedobór wyrównam. Sprawdzić odrazu, czy list wysłano nie można, gdyż odbiór kwitów należy do rzadkości. Wobec takich warunków łatwo ocenić doniosłość nowych udogodnień.

Zn.

Radom W gub. radomskiej istniało po dzień 13 stycznia 1894 r. 138 kas wiejskich pożyczkowo-wkładowych, z których 26 otworzono z kapitałem zakładowym, przez rząd udzielonym, 36 z przyrostu od obrotu udzielonego przez rząd kapitału i 76 z kapitałem, stanowiącym własność gmin i osad. Kapitał zakładowy we wszystkich powyższych kasach wynosił rs. 108,20% k. 30. Przyrost sum od dnia ich założenia dosięgnął rs. 306,526 kop. 94½. Ofiar na korzyść kas wpłynęło rs. 591 k. 21½, wkładów procentowych rs. 547,095 k. 9¼. Po tenże dzień znajdowało się rozpożyczonych pieniędzy rs. 965,429 k. 38. Obrót wszystkich kas w roku sprawozdawczym 1893 wynosił rs. 1,794,072 k. 45½.

Częstochowa. Akt zamknięcia roku w szkole ogrodniczej odbył się d. 14 z. m. W tym roku po raz pierwszy opuściła szkołę gromadka ogrodników, którzy ukończyli kurs trzeci. Na patent z liczby 27 uczniów trzeciego kursu zdało egzaminy dwudziestu. Dla kursu I-go wakacye trwać będą od 15 lipca do 15 sierpnia, drugiego od 15 sierpnia do 15 września, uczniowie kursu III-go pozostaną w szkole do 15 października, dla dopełnienia zajęć praktycznych. Zapis nowych kandydatów rozpocznie się d. 13 sierpnia. — Stała mieszkanka i obywatelka Częstochowy, Stanisława z Kaczkowskich Byszewska, zapisała aktem rejentalnym 5,000 rs. na założenie w Warszawie domu schronienia dla osamotnionych wdów i panien.— Przemysł rozwija się tu stale. Świeżo powstały dwie giserne (jedna już czynna), fabryka tapet a obecnie buduje się wielka fabryka kleju. Produktu tego jedna tylko papiernia miejscowa zużywa rocznie na 6,000 rs. W Rudnikach puszczono w ruch fabrykę cementu, jedna zaś z dawniejszych firm buduje wielki zakład dla wyrobu masy drzewnej do papieru. W miarę rozwoju przemysłu wzmaga się także gorączka budowlana w Częstochowie; cena placów nadzwyczaj szybko idzie w górę i stwarza nowe pole działalności dla aferzystów.

SPRAWY EKONOMICZNE

ZBOCZENIA EKONOMICZNE.

II.

Ziemianin nasz nie może zapobiedz niebezpieczeństwu współzawodnictwa wytwórców zagranicznych, gdyż najsłabszym jest w tem właśnie, co daje siłę i trwałą podstawę tudzież ciągły rozwój zapewnia rolnikom obcym. Porównajmy tylko technikę produkcyi i handlu, a cały obraz warunków jasno nam się przedstawi i wskaże istotną przyczynę zniżki cen na zboże, której producenci zagraniczni nie odczuwają tak dotkliwie, jak nasi. Pierwsi bowiem korzystając skwapliwie z wszelkich owoców nauki, potrafili wydobyć wszystko, co tylko służy do zmniejszenia kosztów produkcyi, a więc sprzedając zboże taniej niż my, mogą pomimo to ciągnąć zyski znacznie większe niżeli nasz wytwórca rolny.

Do pierwotnego źródła upadku cen dołącza się inny czynnik — współzawodnictwo, które sprawia to, że gdy przedsiębiorcy, rozporządzający siłą techniki udoskonalonej, w danym okresie otrzymują *mniejsze zyski* w stosunku do poprzednich, nasi, stojący na niższym szczeblu, muszą czynić ustępstwa ze *stratą*. Weźmy parę cyfr; 70-milionowa ludność rolnicza w całem państwie ruskiem wytwarza ziarna na miliard rubli, podczas gdy Stany Zjednoczone Ameryki północnej przy ogólnej liczbie ludności 63 milionów, produkują na trzy milardy rubli. Jeżeli weźmiemy pod uwagę ludność wyłącznie rolniczą, to znajdziemy, że produkcyjność farmera amerykańskiego dziesięć razy jest większa, aniżeli ziemianina w Rosyi. W okresie 1867—1888 płodność pracy właściciela ziemskiego w Ameryce podwoiła się, obok zaś tego ceny zboża na rynkach spadły o 48%. Za oceanem różnica między ceną miejscową a wywozową waha się od 7 do 24%, w Rosyi zaś od 25 do 41%, czyli koszt transportu i pośrednictwa w tej ostatniej przeszło dwa razy jest większy niż w Ameryce, co, rzecz prosta, zniża w odpowiednim stosunku zyski rolnika tutejszego, który chcąc współzawodniczyć na rynkach zagranicznych, musi się zrzec wszelkich zysków. Staje on tam wobec potężnej konkurencyi Ameryki, Australii, Indyi, Egiptu. Pierwsza pobija techniką, druga bogactwem i szeregiem wielu przyjaznych warunków.

I oto wewnątrz państwa wytwarza się nowe wielce charakterystyczne zjawisko: im zboże tańsze, tem dla własnego użytku — brak jego większy. W miarę bowiem zniżki cen, rolnik stara się utrzymać poprzednią skalę dochodu, sprzedaje zatem więcej i zapełnia luki kosztem własnego spożycia. Upadek cen, jak zaznaczyła komisya von-Plewego, datuje się od r. 1883; od tegoż czasu przeciętny wywóz zwiększył się o 30% w stosunku do poprzedniego pięciolecia i wrastać musi dalej, gdyż w przeciwnym razie rolnictwo stanęłoby nad przepaścią bankructwa. Biorąc cyfry począwszy od piątego dziesiątka bieżącego stulecia do r. 1890 widzimy, iż wywóz od 4% ogólnego urodzaju doszedł do 17%. Tem się tłomaczy zjawisko, że nawet w latach urodzajnych znaczna część ludności państwa cierpi niedostatek zboża.

Zaznaczyliśmy w przeszłym numerze *Prawdy* dwa wnioski, do których prowadzą wywody i poglądy praktyków: 1) środki zmierzające do zwiększenia wydajności ziemi są szkodliwe, bo wpływają na obfitość plonów, koszt zaś ich zbioru nie pokrywa kosztów produkcyi; 2) ułatwienia komunikacyjne działają również ujemnie. Jeżeli teraz sięgniemy po za granice państwa, przekonamy się, że nie te dwa warunki wpływają szkodliwie, lecz brak możności zrównania się ze współzawodnikami obcymi. Wiemy już o sile ogólnej tych ostatnich: o możliwości taniego wytwarzania; rozpatrywanie wszystkich jej atomów zabrałoby nam zbyt dużo czasu i miejsca (zresztą o niektórych mówiliśmy już nieraz), więc tylko zaznaczymy wybitniejsze: Porównajmy stopnie jednego z warunków powodzenia wszelkiej wytwórczości, zatem i rolnictwa: — oświaty. Według obliczeń Ryszarda Kaufmanna, wydatki na wykształcenie elementarne wynoszą: w Niemczech 6,4% budżetu państwowego, w Anglii 7,6%, we Francyi 5,47, w Austryi 4,21, w Rosyi 2,04%. Dla tej ostatniej rezultaty wychodzą jeszcze gorsze w obliczeniu na głowę: W Niemczech koszt wychowania jednej osoby wynosi 5,91 marek, w Anglii 5,83, we Francyi 5,18, w Austryi 2,77, w Rosyi 0,58, czyli w tej ostatniej na wychowanie jednej osoby wypada przeciętnie 25 kop. rocznie. Cały rozchód w państwie ruskiem na szkoły początkowe, wraz z udziałem ziemstw i miast wynosi około 20 milionów rubli. Zatem aby dorównać Niemcom lub Anglii, należałoby sumę powyższą zwiększyć 10 razy, czyli podnieść do dwustu milionów *). Taki jest stosunek podstaw — wykształcenia początkowego, na którem musi się opierać zawodowe. Statystyka tego ostatniego jeszcze jaskrawsze różnice wykazuje. Z wiedzy przecież wypływają wszelkie inne siły, wzmacniające rozwój ekonomiczny.

Rolnicy w obrębie państwa ruskiego, widząc wielkie udoskonalenia u obcych, tłomaczą się niemożliwością dorównania im z powodu przeszkód polityki ekonomicznej. „Na rynkach spotykamy tanie zboże zagranicy, a gdy przekonawszy się, że w znacznej mierze przyczyną tej taniości jest technika wysoka, chcemy u siebie wprowadzić ulepszenia, tj. kupić tanio narzędzia za granicą — staje na drodze cło protekcyjne Mówią nam: „udoskonalajcie środki produkcyi i zbytu!“ Lecz niechajno tylko u nas znajdą się śmiałkowie, którzy mają ochotę wybudować np. kolej pomocniczą, elewator, sprowadzić ulepszone maszyny,—muszą płacić podwójnie za każdy szczegół osobno.“ Takie rozgoryczenie gromadki rolników, sięgających po za własną miedzę, w części jest uzasadnione. Polityka protekcyjna wzięła w opiekę przemysł fabryczny dlatego, iżby przemysłowcy krajowi wzmogli się na siłach i taniej sprzedawali swój towar spożywcom. Fabryki, wytwarzające narzędzia i maszyny rolnicze w kraju, istotnie sprzedają je oddawna taniej w stosunku do cen zagranicznych wraz z dostawą. W przyszłości może te przedmioty będą jeszcze przystępniejsze. Ale, zdaniem bardzo wielu rolników, mają one jedną wadę—tandetę. „Wyroby fabryk krajowych znacznie są gorsze, niż zagranicznych, prędko się psują. „W potępieniu tem tkwi odrobina prawdy. Narzędzia i maszyny rolnicze, wychodzące z fabryk krajowych, bywają gorsze, niżeli zagraniczne, mniej eleganckie i imponujące; ale znowu nie są tak złe, iżby nie miały żadnej wartości.

„Łatwo się psują!“ Dlaczego? — Oto szydełko braków podstawowych wyłazi i w tym wypadku z worka ciemnoty. Psują je niezdarni oficyaliści, niemający nawet elementarnej wiedzy technicznej. Ulepszona maszyna pod opieką takich pracowników, to kosztowne cacko w rękach swawolnej dziatwy. Czytaliśmy programy niższych szkół rolniczych, ale, o ile nas pamięć nie zawodzi, nie znaleźliśmy tam wcale nauki obchodzenia się z maszynami i narzędziami. A przecież mechanika elementarna powinna być na pierwszym planie takich zakładów i bardziej należałoby ją stosować w praktyce, niż w teoryi. Nadto, szkoły te powinny kształcić nietylko ekonomów i niższych oficyalistów, ale mechaników zawodowych, którzy mogliby w każdej chwili naprawić zepsute narzędzie. Obowiązkiem zaś ekonomów i wogóle wszelkich pracowników, mających bezpośrednią styczność z rolą, powinna być dokładna znajomość budowy maszyn i narzędzi, tudzież sposobów ich użycia. Zanim zaczną one działać, oficyalista taki musi dokładnie obeznać parobków z tymi przedmiotami. Wtedy dobroć wyrobów krajowych znacznie się podniesie, wypadki ich zepsucia będą rzadsze, a tem samem i koszt ich o wiele się zniży, rolnik bowiem uniknie częstych wydatków na naprawę, nieraz w rękach nieumiejętnych — bezskuteczną.

Brak tych wszystkich warunków niewątpliwie działa zniechęcająco na rolników i potęguje ich zachowawczość względem wszelkich ulepszeń, do których uciekają się częstokroć tylko w razach ostatecznych. Tak np. w chwili obecnej ziemianie w prowincyach południowo-zachodnich na gwałt czynią zakupy narzędzi i maszyn w składach kijowskich, skutkiem braku robotników, aby tym sposobem siłą mechaniczną zastąpić pracę ręczną. Wypadki takie, tylko w mniejszym stopniu, zdarzały się już nieraz; wytwórcy rolni w chwilach najgorętszych robót, przyciśnięci ostatecznością, sprowadzali niezbędne maszyny. Tak więc nacisk warunków nieprzyjaznych zmusza ich niekiedy do chwytania się techniki udoskonalonej. Czy ten sam nacisk zdoła usunąć wszystkie zboczenia w życiu ekonomicznem ogółu rolników? Zanadto one zakorzeniły się w temperamencie, usposobieniu tych wytwórców tudzież wielu zjawiskach, nazbyt złożonych i poplątanych, ażeby można było tego się spodziewać. Technika pod wpływem konieczności pójdzie niewątpliwie znacznie wyżej; ale we wszystkich szczegółach swej maszyneryi nie dorówna zagranicznej. Dzisiaj wszelako widzimy już chociaż słabą dążność do zniżenia kosztów produkcyi, natomiast jeden z niezbędnych w tej mierze warunków — uproszczenie w handlu, znajduje znaczną przeszkodę w mocnej organizacyi pośredników i spekulantów — wytworze wielu nienormalnych zjawisk bytu materyalnego. Usunięcie tych narośli pasorzytniczych zburzyłoby podstawy twierdzenia, wysnutego z faktów rzeczywistych, że tanie taryfy przewozowe i pomyślne urodzaje szkodzą interesom rolników. Co do pierwszych, mogą one działać niekorzystnie na interesy pewnych grup rolniczych, jeżeli nie są oparte na zasadach sprawiedliwości i swoim systemem różniczkowym biorą w opiekę tylko niektóre prowincye.

Zen. Piet.

*) „Szkoła ruska,“ 1893.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Nadzór nad kasami emerytalnemi, przeważnie kolejowemi, przechodzi do ministeryum komunikacyi.

— Dotąd jeszcze celne władze niemieckie nie otrzymały zawiadomienia o zniesieniu wizy, pomimo, iż wydrukowano to postanowienie w pismach rządowych. Podróżni zatem powinni jeszcze trzymać się dotychczasowego zwyczaju.

— Jeden z wydawców petersburskich podał wniosek wzbronienia wydawania gazet w dnie poświąteczne, aby zapewnić zecerom i współpracownikom wypoczynek.

— Z powodu rewizyi ustawy mierniczej, ministeryum sprawiedliwości poruszyło sprawę podniesienia poziomu wykształcenia geometrów.

— Ogłoszono rozporządzenie, upoważniające Bank szlachecki ziemski do udzielania pożyczek szlachcie rodowej na kupno majątków od osób pochodzenia nieruskiego w guberniach: wileńskiej, grodzieńskiej, mińskiej, witebskiej, mohylewskiej, kijowskiej, wołyńskiej i podolskiej. Wysokość pożyczki może dosięgać 75% szacunku.

— *Tiuremn. wiest.* donosi, że jeden z naczelników więzienia zwrócił się do władzy zwierzchniej z zapytaniem, o ile możliwe jest pozwolenie więźniom na zajmowanie się pracą literacką w celu pomieszczania jej w pismach przez czas pobytu w więzieniu. Odpowiedź nadeszła nieprzychylna, ponieważ w art. 232 ust. wyraźnie zaznaczono, że więźniowi wolno pisać tylko dokumenty, dotyczące spraw majątkowych i osobistych. Jeżeli zaś nie zabroniono mu zajmować się pracą piśmienną, to oczywiście wolno pisać rzeczy literackie, które jednak mogą wyjść z więzienia razem z aresztantem.

Szkoły. Dziekanem wydziału filozoficznego we Fryburgu (Szwajcarya) został prof. Józef Kallenbach.

— W Monachium 25 lipca odbyła się wystawa prac uczniów i zamknięcie roku szkolnego w królewskiej Akademii sztuk pięknych. Między innymi odznaczeni zostali za prace rysunkowe: Józef Olpiński i Kazimierz Mastalski; na kursie rytownictwa: Ignacy Łopieński i Lucyan Kochanowski za miedzioryty.

Konkurs. Zarząd Saratowa ogłasza konkurs na sporządzenie projektu gmachu, w którym pomieściłyby się: biblioteka publiczna, audytoryum na wykłady, bank miejski i magazyny. Nagrody: rs. 500 i 200. Termin 15 stycznia r. 1895.

Zdrowie publiczne. Okręty, przybywające z portów morza Czarnego pomiędzy ujściem Dunaju a Kerczem, podlegają oględzinom lekarskim. Na Bosforze i na wyspach Cyprze i Malcie ustanowiono kwarantannę pięciodniową dla okrętów płynących z morza Czarnego. W Austryi osoby jadące z Rosyi po przybyciu do celu podróży podlegają w ciągu dni pięciu oględzinom lekarskim. Wszystkim osobom, przybywającym z Rosyi do Bukowiny, wydawane są świadectwa tymczasowe wzamian za pasporty, które odbierane są i wręczane u celu podróży. Pasporty osób, jadących do Bukowiny na czas krótki, pozostają w ręku pogranicznych władz austryackich aż do powrotu pasażera.

— Potrzebny lekarz do osady Sochocin (pow. płoński, gub. warszawska) z powodu epidemii. Bliższych wiadomości udziela apteka.

— Dla względów zdrowotnych postanowiono zawiesić jarmarki, przypadające latem w Nowym Dworze, Piasecznie i Jabłonnie.

— Petersburskie Towarzystwo ochrony zdrowia publicznego ogłasza konkurs na wynalezienie sposobu zabezpieczenia zdrowia robotników od szkodliwego wpływu produkcyi, w których są używane silne kwasy i części trujące. Za najlepsze prace nagrody 500, 250 i 100 rs.

— Z powodu wzmagania się cholery w guberniach warszawskiej, kieleckiej, płockiej i radomskiej, wzbroniono pielgrzymek do Częstochowy, przy czem zalecono biskupom wydać rozporządzenie, ażeby duchowni katoliccy nie udzielali błogosławieństwa na drogę kompaniom pobożnych, nie zaopatrywali ich w obrazy świętych, krzyże, chorągwie itd. tudzież aby wyjaśnili ludowi przyczynę zakazu.

Wypadki. Dn. 25 lipca zgorzał Zakroczym. Spłonęło ogółem 69 domów; straty przeszło 600,000 rs. Około 1500 osób ucierpiało materyalnie.

— Dn. 29 lipca na drodze Nadwiślańskiej w Otwocku wykoleił się pociąg towarowy (30-wagonowy), idący z Kowla. Pomocnik maszynisty skaleczony, pięć wagonów ze zbożem i drzewem uległo rozbiciu. Przyczyną wypadku złe nastawienie zwrotnicy. Nazajutrz na tejże samej kolei pomiędzy Nasielskiem a Gąsocinem w miejscowości Ślubowo, gdzie jest kopalnia piasku, pociąg towarowy wpadł na roboczy całą siłą pary. Piętnaście wagonów i pięć platform pogruchotanych. Maszynista, wyrzucony na ziemię, ocalał; pomocnik jego, ciężko pokaleczony, ma nogę złamaną.

Koleje i komunikacye. Pierwszemu Towarzystwu kolei dojazdowych pozwolono na budowę linii ze Święcian, stacyi drogi Warszawsko-Petersburskiej do miasteczka Głęboki (gub. wileńska). Długość 118 w.

— Towarzystwu belgijskiemu kolei konnych w Warszawie pozwolono na przeprowadzenie linii tramwajowej na Nowej Pradze.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 22 Іюля 1894 г.

Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.